







<http://rcin.org.pl>

**PRACE**  
**DRAMATYCZNE**

**J. S. JASIŃSKIEGO.**



# SPIS SZTUK

W TOMIE DWUNASTYM ZAWARTYCH.

---

1. *Wychowanka w Tonnaingthon*, melo-  
drama w 3ch aktach. . . . . 1.
2. *Złe wychowanie*, komedja we 2ch  
aktach . . . . . 156.





Akt II. Scena XII.

**J.P. Karasiński** / w roli *Ernesta* w Ko: *Złe wychowanie*  
*. I jednakże chciałbym wiedzieć komu miałem  
szczęście podobać się*

*Tom XII Prac Dramatycznych.*



Egz. archiwalny IBL

**PRACE**

**DRAMATYCZNE**

TLUMACZONE I ORYGINALNE

**J. S. JASIŃSKIEGO**

**A. D. T. W.**

**Tom XII.**

**WARSZAWA.**

**1839.**

**INSTYTUT  
BADAŃ LITERACYJNYCH PAN**

Biblioteka

ul. Nowy Świat 72

00-700 Warszawa

Tel. 25-64

<http://rcin.org.pl>

42



---

*Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.*

---

## DOKOŃCZENIE

### *LISTY PRENUMERATORÓW.*

---

Bajer Maciej, J. D. i S.	1 z.
Chomanowska Elżbieta, A. D.	1 z.
Ciechomski Mateusz.	1 z.
Dmóchowski Franciszek Salezy.	1 z.
Eljaszewicz Piotr, R. K. U. d. S. P. p. X. N.	1 z.
Fachinetti Jan Kanty.	1 z.
Gajewski Felix.	1 z.
Ginter, księgarz w Lesznie.	1 z.
Kaszowiecki.	1 z.
Kielce (Urząd Pocztowy.)	2 z.
Koło (Stacja pocztowa.)	1 z.
Królikowski Franciszek, U. S. D.	1 z.
Krzczkowski Ferdynand U. w K. R. S. W. D. i Q. P. C. T. U.	1 z.
Lier Jan.	1 z.
Listowski Andrzej, P. W. C. R.	1 z.
Masłowski Piotr, U. S. D.	1 z.
Markowski Wincenty Bończa P. K. C. w Terespolu.	1 z.

Ostrowiec. (Stacja pocztowa)	1 z.
Pozarzycki Felix, K. E. K. S.	1 z.
Stawiński Piotr, S. K. S.	1 z.
Stepkowski Ludwik, b P. P. W. C. R. K. A. C. VII i VIII.	1 z.
Strzyzewski Tomasz.	1 z.
Stürmer Teodor, S. L. W. G. R.	1 z.
Treüler Ignacy.	1 z.
Wemmer Józef.	1 z.
Wilanowski Tomasz, N. S. K. i T.	1 z.
Zakrzewski Walenty, J. M. S. w Dobrzy- kowie.	1 z.

Omyłki w liście Prenumeratorów, umieszczo-  
nej w Tomie VIII.

Zamiast: Białopiotrowicz Jan, czytaj *Jerzy*.  
Zólkowska Józefa, czytaj *Ludwika*.

# WYCHOWANKA

W TONNINGTHON.

MELODRAMA

W TRZECH AKTACH.

*z francuzkiego*

P. Ducange

TLUMACZONA.

Muzyka, Józefa Damse.



PRZEDSTAWIONA PIERWSZY RAZ

W WIELKIM TEATRZE

*dnia 21 Marca 1834 r.*



<http://rcin.org.pl>

## O S O B Y.

- LORD BEDFORD, blizki krewny i przyjaciel pierwszego ministra JP. *Werowski.*
- MARGRABIA DUDLEJ, jego poufały, JP. *Karasiński.*
- SIR TOM LOVE, młody szlachcic Szkoeki, JP. *Piasecki.*
- MORTON, malarz, JP. *Jasiński.*
- BURLEJ, } Młodzież JP. *Jastrzębski.*
- COVELLY, } } JP. *Bogusławski.*
- FOSTER, } Angielska. JP. *Wejnert.*
- BLIFILD, } JP. *Bulinski.*
- LEDY WINDSOR, dama dworu, dawniej kochanka lorda Bedford, JP. *Nowicka.*
- LEDY WORCESTER, zarządzająca pensją w Toningthón, JP. *Zółkowska.*
- MISTRIS HOTTWARD, nauczycielka, JP. *Rembecka.*
- HELENA DE ROSELINDE, wychowanka na pensji, JP. *Palczewska.*

DOKTOR,	JP. <i>Wolski.</i>
PATRICK, oberżysta,	JP. <i>Damse.</i>
BETTY, jego córka,	JPi. <i>Kurpińska.</i>
SOTTGHERL, wieśniak szkocki	JP. <i>Zdanowicz.</i>
COFFREMAN, urzędnik sądowy,	JP. <i>Rywacki.</i>
WALPOOL, sekretarz lorda Bedford,	JP. <i>Żółkowski.</i>
WILLJAMS, } lokaje Lorda	JP. <i>Obtółowicz.</i>
DZON, }	JP. <i>Lanckoroński.</i>
GARDEROBIANNA } Ledy	JPa. <i>Zawadzka.</i>
JAMES, } lokaje { Windsor	JP. <i>Jędrzejewski.</i>
ŻAK, }	JP. <i>Sawiński.</i>
OFICER służbowy,	JP. <i>Markowski.</i>
THOBY, ogrodnik,	JP. <i>Zieliński.</i>
STAJENNY,	JP. <i>Krzesiński.</i>
Panowie—Damy—Nauczyciele—Młode pen- sjonarki.	

(Rzecz dzieje się na przemian w Londynie  
i w Tonnnington.)

---

# WYCHOWANKA

## W TONNINGTON:

---

### AKT I.

(Scena przedstawia pokój skromnie umeblowany.)

#### SCENA I.

TOM LOVE. (*sam, pisze*)

Mamże dalej pisać? biedny Tom Love, wszakże to twoja jedyna nadzieja! (*pisze mówiąc*) Xiążę! Przypominasz sobie zapewne mojego ojca; na łożu śmiertelnym, powtarzał mi, że wasza łaskawość... (*zatrzymuje się*) I jeszcze prosić! (*rzuca pióro i wstaje*) Nie! niepodobna dokończyć, dziesiąta, prośba to zawiele! Po-

niżające pismo! (*rozdziera je*) Majątek, godności, zmieniły Lorda, zapomniał co winien mojemu ojcu; duma zabrania mi pamiętać o tem, moja duma zabrania mi poniżać się. Jestem młodym, zostanę żołnierzem. Tak... puszczyć się na morze—porzucając brzegi Anglii, czegoż żałować mogę? Moich gór Szkockich? już w nich nie żyję...mojego ojca? już go nie mam...moich miłostek? znam je tylko w marzeniu, czyliżbym się ośmielił kochać?... Pojadę! jutro...dziś jeszcze! tak, ale koszta podróży... Nie mam już ani szylinga; a do tego zadłużony,... gospodarz zagraża! Przekłęta lekkomyślności! miałem nadzieję, oczekiwałem, a teraz... (*spoglądając na szpadę*) oto cały mój majątek. (*nagle z dumą podnosząc głowę*) Oddam go w zastaw, on będzie rękojmią mojego długu, jest to drogi zakład honoru. I ażeby się dostać do Indji... (*słychać hałas*) Co słyszę? tak.. to na schodach.... Ten niegodziwy Patrick byłżeby tak zuchwałym aby mnie uwięzić za dług!...Ktosie ośmieli zbliżyć do mnie ujrzy ostrze tej szpady. (*Betty wbiega*).



## S C E N A II.

TOM LOVE. BETTY.

B E T T Y.

Sir Love, Sir Love.

L O V E.

Betty! cóż to za hałas? — czego chcą?  
ktoż się o mnie pyta?

B E T T Y.

To są pana przyjaciele, Sir Burley, Covelly, Foster - i ..... jednem słowem te... naj-  
pierwsze umizgusy, rozputniki Londynu, któ-  
rzy do pana przychodzą na śniadanie.

L O V E.

Kochana Betty trzeba ich przyjąć.

B E T T Y.

Oh! nie podobna! Szlachetny panie, mój  
wujaszek Patrick nie chce więcej dawać na  
kredyt; on utrzymuje że to z ich przyczyny  
nie macie pieniędzy, gniewa się okropnie, a ja  
przybiegłam zapytać pana co mam u czynić?  
jak mam powiedzieć? żeś pan chory..... żeś  
wyjechał — wyszedł?..

L O V E.

Nie przyjąć moich przyjaciół?... nigdy!  
biegnij i powiedz im ..

BETTY. (*przerywając*)

Cicho! cicho! już idą na górę, (*przysłuchiwa się*) czy, słyszysz pan głos mojego wuja? powiada że pójdzie po pachółków.

(*słysząc wielki śmiech za sceną*)

L O V E.

Po pachółków! do stu katów, zobaczymy.

B E T T Y.

Otóż i oni.... znówu będą chcieli całować, a mój Sottgherl tego nie lubi, uciekam.

L O V E.

Nieroztropni! niedomyślają się, nie wiedzą..

(*Betty ukrywa się a potem wychodzi*)

### SCENA III.

TOM LOVE. COVELLY, BLIFILD, BURLEY

FOSTER. (*a wkrótce potem Morthon*)

C O V E L L Y.

Na honor! ubawił mnie swoim gniewem.

B U R L E Y.

Ach jak się masz filozofie. powiedz nam kochany Love, czy, chcąc się z tobą widzieć, trzeba wprzód podawać prośby na piśmie do tego karczmarza?..

L O V E.

Drobnostka, pomylił się.

- C O V E L L Y.

Byłem tego pewny. Ten dobry Tom Love, dusza naszych zabaw, miałby zamykać drzwi przed swojemi przyjaciomi!...

W S Z Y S C Y.

Ach!..

L O V E.

Mogliżbyście sądzić?... ale jakież szczęśliwe natchnienie, czyli raczej jakie nowe szaleństwo sprowadza was tutaj?

B U R L E Y.

Szaleństwo, dobrze powiedziałaś, wyobraź sobie.. *(słysząc zgiętk za sceną)*

L O V E. *(niespokojny)*

Cóż tam znowu?.....

B U R L E Y.

Na zwłoki Sgo Jakóba, jeżeli to twój gospodarz.... *(Morthon staje we drzwiach)*

C O V E L L Y.

Ah! to nasz kochany Morthon!

WSZYSCY *(wyjawszy Love)*

Morthon!

B U R L E Y.

Bravo, nasz młody Rafael! na honor nie mógł w lepszy czas przybyć — Mości panowie, on do nas należy, Morthon ja cię zapraszam.—

W S Z Y S C Y.

Wszyscy, wszyscy go zapraszamy.

M O R T H O N.

Przyjmuję przyjmuję, wszak wiecie panowie że jestem artystą, a artysta nigdy za kołnierza nie wylewa. Ale o cóż idzie? o obiad w Pel-Mel, czy o przejażdżkę do nowego parku.

B U R L E Y.

O śniadanie mój kochany, ale o śniadanie dobrego tonu *iucognito*, tu u Patrieka na dole, w jego wielkiej sali. Jest to zakład, który ja podług chwalebego zwyczaju przegrałem; ale żem się założył na imię naszego kochanego Tom Lowe, a zatem on zapłaci.

L O V E.

Jakto?... ja?....

M O R T H O N.

Co?... mieliście biesiadować, łykać, i zapomnieliście o Rafaelu. *(biorąc przyjacielsko Tom Lova za rękę)* i ty także mój kochany Tom Love? Ah! to się niegodzi; ażeby się nad wami zemścić zapraszam was po śniadaniu do mnie, mam w mojej pracowni prześlizną osobkę..

WSZYSCY (*wyjawszy Tom Love*)

Co? co?

M O R T H O N.

W miniaturze.

C O V E L L Y..

Któż jest oryginałem?

M O R T H O N.

To jest tajemnica.

B U R L E Y.

Jakże ci zazdrozczę! widziałeś ją?.....

M O R T H O N.

Naturalnie? malowałem ją.

B U R L E Y.

Czy jaka piękność dworska...

M O R T H O N,

Nie, jeszcze nie; powiadam wam: sama niewinność, sama natura, w szesnastej wiosnie, tylko że to wszystko zostaje pod dobrą strażą.

B U R L E Y.

Jak to?.....

M O R T H O N.

Jest ona pensjonarką; Miniatura maluje się tajemnie u pewnej Miledy, sławnej z miłostek i okazałego życia; niegdyś kochanki Lorda Bedford.

B U R L E Y.

Lorda Bedford?....



M O R T H O N.

Tylko sza!

B U R L E Y.

Przedziwnie, o stary grzesznik!

M O R T H O N.

Na miłość Boską, tajemnica!

B U R L E Y.

Tajemnica Lorda Bedford przyjaciela Lorda Ministra, hm, o, taką rzecz dobrze płacą. (*do Tom Love*) Widzisz tedy dla czego jego łaskawość niema czasu odpowiedzieć na twoje podania.... Po śniadaniu Morthonie pojedziemy uwielbiać podwójne arcydzieło, natury i twojego pędzla; a teraz moi panowie do wielkiej sali Patricka.

M O R T H O N.

Idźmy (*spoglądając na Tom Lova*) Ale cóż się stało naszemu przjacielowi?

L O V E.

Czuję się być nieco słabym, proszę was uwolnijcie mię....

B U R L E Y.

Hm!... biedny Tom Love słaby jesteś a więc dla tego samego powinienes pójść z nami rozweselić się, trzeba odpędzić ten smutek. Wiecie co przyjaciele, przed śniada-

niem dla zaostżenia jego apetytu, każmy tu na górę przynieść ponczu.

C O V E L L Y

Ponczu? wyborna myśl! (*do Tom Lova*) to cię uleczy przyjacielu.

WSZYSCY (*oprócz Tom Lova i Morthona*)

Hej! jest tam kto! Patrick, Betty! Cóż u kroćset.... czy nikt dzisiaj nie przyjdzie? (*uderzają mocno w stol! Sottgherl przybiega*)

## SCENA IV.

SOTTGHERL. Poprzedzający LOVE *siedzi smutny i nie zważając na to co się około niego dzieje*)

S O T T G H E R L.

Jestem, jestem panowie szlachta i kawalerowie, he, he, czegoż panowie żądają? he! he! (*Młodzież ujrzawszy Sottgherla śmieje się do rozpuku*)

B U R L E Y.

Ab! ab! ah! sliczna figurka! Powiedz mi kto ty jesteś? kulawy djabel, czy karzeł króla Ryszarda?

S O T T G H E R L.

Kto ja jestem? he! he! otoż mamy głupstwo! tak jakby to cały Londyn nie wiedział

*Tom XII.* 2

kto jestem? he! he! he! (*mocno*) jestem ma-  
ły Sottgherl, syn wysokiej Alixy Gritmich i  
tłustego Jona - grim - graet - kleigs - magot z hra-  
bstwa Croosmienschillmoor w Szkocji.

B U R L E Y.

W Szkocji? zmyślasz, to jakieś hrabstwo  
chińskie nie szkockie. Przynieś nam pou-  
czu.

S O T T G H E R L

Ponczu! he! he! he!

B U R L E Y.

Czy tu umieją robić poncz?

S O T T G H E R L.

Czy tu umieją robić poncz? he! he! w o-  
berzy pod jednorożcem, na ulicy Gremarl-  
borough - Manchester - Squarre, czy umieją  
robić poncz? he! he! he! Naprzód biorą się  
cytryny, wyciskają się, potem wysypuje się miał-  
ki cukier, potem wlewa się arak, a nakoniec  
gorąca woda, he?

B U R L E Y.

. A więc he! przynieś nam takiej gorącej  
wody.

S O T T G H E R L.

Poncz!... (*śmieje się*) he! he!

BURLEY.

Z czegoż się śmiejesz?

SOTTGHERL.

Przebacz szlachetny panie, ale poncz przed śniadaniem; he! he! he! zabawnie he! he!

BURLEY.

Taki mój zwyczaj: ja piję poncz zamiast kawy, a teraz spiesz a nie żałuj araku, rozumiesz? ruszaj!

SOTTGHERL.

Idę, idę, he! he! he! Poncz przed śniadaniem, he! he! he! (*wychodzi śmiejąc się ciągle*)

BURLEY.

Pocieszne bydlatko (*wszyscy patrzą za odchodzącym Sottgherlem*)

## SCENA V.

CIŻ bez SOTTGHERLA.

(*Love siedzi zamysłony, Morthon który go ciągle uważał*)

MORTHON. (*na stronie*)

Nie; jego smutek, nie jest skutkiem małej słabości. (*trącając po ramieniu Tom Love*)  
Przyjacielu, bądź szczerym, tobie coś dolega, ty masz jakiś smutek na sercu?

LOVE (*wstając*)  
Ja? nie....

BURLEY.  
Czyżby ci się przytrafiło jakie nieszczę-  
ście?

MORTON.  
Lord Bedford, twój protektor, miałżeby o  
tobie zapomnieć?

LOVE.  
Mój protektor? już o nim nie myślę.

BURLEY.  
Czy nie jesteś przypadkiem zakochany?  
mów, nie ukrywaj nic przed nami.

MORTON,  
Jesteśmy tu wszyscy twojami przyjaciółmi.

COWELLY.  
Twojami szczeremi, prawdziwemi przyja-  
ciółmi..

MORTON.  
No, cóż ci jest?

BURLEY.  
Powiedz..

LOVE.  
A więc..... wasza tkliwa przyjaźń zwycięża  
moją głupią próżność; niech djabli biorą

wstyd fałszywy! u ludzi tak jak my szlachetnie zrodzonych, szlachetnie myślących, ubóstwo przecież nie jest występkiem. Otoż tedy moi przyjaciele, pierwój nim się spełniły błogie marzenia mojej szczęsnej przyszłości, zajrzałem do mojej kiesy; oto powód mojego smutku. Burley, nie jestem w stanie dopełnić zobowiązań twojego zakładu.

BURLEY.

I to tylko było przyczyną twojego smutku: nie więcej; Mości panowie, ręce do kieszeni, przyjaźń ostatkiem dzielić się powinna.

LOVE.

Wstrzymajcie się; kochany, Burley dziękuje ci, dziękuje ci serdecznie; ale nie mogę na to zezwolić.

MORTON.

Bądźże cicho, Burley dobrze mówi. Mości panowie, lubo nie mam zaszczytu jak wy dźwigać szpady przy boku, ale będąc artystą, jestem podobno cokolwiek bogatszy nad was; z tego jedynie powodu (bo wszyscy tu zarówno jesteśmy przyjaciółmi Lova) proszę o pierw-

2\*



szeństwo; powinienem je otrzymać, zwłaszcza teraz, kiedy ukończyłem miniaturę która mi najkorzystniejsza .....

L O V E.

Nigdy!

M O R T H O N.

Dozwól, dozwól przyjacielu, niechaj mój pędzel pozyska tę chlubę że pierwsze dzieło, którem się szczyci, poświęcił dla przyjaźni, a potem wiesz dobrze że moja przyszłość wolną jest od wszelkiej obawy. Gdyby mi nie szło o imię artysty, gdybym go nie poczytywał za chlubę, dzisiaj jeszcze mogłbym porzucić mój pędzel. Szlachetna i sławna Lady Worcester zarządzająca pensją w Tonnigton jest moją ciotką. Już mi tysiąc razy wymawiała że zbytęcznie oszczędzam jej kiesę, i zapominam o jej szlachetnej dla mnie przyjaźni. Jutro biorę sto gwieów od mojej ciotki; a conto przyrzeczonego mi wynagrodzenia, za mój ładny portrecik. *(podczas ostatnich słów Morthona, Sottghert i Betty przynoszą wazę ponczu i szklanki)*

## SCENA VI.

CIŻ SAMI, SOTTGHERL i BETTY.

SOTTGHERL. (*stawiając na stole wazę ponczu*)

Goddam! otóż i poncz!

B E T T Y.

I szklanki.

B U R L E Y.

Poncz! .....

W S Z Y S C Y.

Wiwat!

B U R L E T.

Dalej kochany Love, wesolo! precz smutek, niedługo będziemy mieli ginee Lady Worcester, będziemy pili szampana! Boski nektar! Ah!... widzisz, już slinki polykasz; niech żyje wesolość! Covelly nalewaj poncz.

LOVE. (*ściskając rękę Morthona, mówi do niego*)

Morthon, pamięć twojego czynu wiecznie tu wyryta, będę ci się mógł godnie wywdzięczyć. Przyjaźń dozgonna...

BETTY. (*którą Burley chce pocałować*).

Ah! bardzo proszę.

SOTTGHERL. (*w postawie boxera*)

Panie! panie!

BURLEY. (*śmiejąc się*)

Ah! Ah! Ah! Mości panowie uwaga na Szkota, bierze się do kulaków.

SOTTGHERL.

Goddam! kulakuję.

BURLEY.

Jakto, mazgaju, chcesz nam zabronić ścisnąć tę ładną panienkę?

SOTTGHERL.

Kulakuję!

LOVE.

Znowu dzieciństwa, Burleju! ten chłopiec jest moim rodakiem, ta dziewczyna jego narzeczoną, biorę ich pod moją opiekę.

BURLEY

Ah! ty się opiekujesz!

COVELLY.

Mości panowie, szklanki ponalewane.

BETTY. (*do Lova*)

Dziękuję panie Love.

SOTTGHERL.

Goddam! byłbym kulakował, pójdź Betko. (*Betty odchodzi z wolna, Sottgherl popycha ją przed sobą*)

## SCENA VII.

POPZEDZAJĄCY, bez SOLTGHERLA i BETTY.

BURLEY.

A więc dalej do szklanek, znowu jeden szczęśliwy dzień! Love co masz swoją, (*wstrzymując Covellogo który chciał pić*) chwilę mój przyjacielu. Idąc torem prawdziwych rycerzy, przedewszystkiem spełnijmy za zdrowie ładnych kobiet: za zdrowie ładnej pensjonarki malowanej przez Morthona, która niewiedząc o tem, podziela z nami szczęście pocieszania przyjaciela!

WSZYSCY. (*trącając się szklankami*)

Zgoda! niech żyją! niech żyje piękna nieznojoma!

MORTON.

Ale kochany Love, znamy tylko przez połowę twój stan, twoje interessa życzylibyśmy je poznać zupełnie. Opowiedz nam historję twójego życia. Mości panowie, zabierzcie miejsca w około tego stołu. (*wszyscy siadają*) Ty Covelly nalewaj, ciągle nalewaj, a my pijmy i milczmy.

W S Z Y S C Y.

Dobrze — pijmy i milczmy.

BURLEY. (*niosąc do ust szklankę, do Lova*)

No zaczynaj.

L O V E.

Mei przyjaciele, historia mojego życia jest bardzo prostą. Jestem jedynym synem Mac-fild Artura Love, ubogiego ale zanego szlachcica Szkoekiego. Ta szpada, imię bez ska-zy i 25 liwrów rocznego dochodu, stanowiły całe dziedzictwo, jakie miałem w spadku otrzy-mać po moim szanownym ojcu. Ale w chwili kiedy miał na zawsze zamknąć swoje po-wieki, przywołał mię do siebie, uściskał i rzekł: Synu, żyłem w ubóstwie, ty będziesz szczęśliwszym odemnie. Taka moja wola: sprzedaj twoje szczupłe dziedzictwo, jedź do Londynu, udaj się do Lorda Bedford i po-wiedz mu: jestem Tom Love; to nazwisko zapewni ci los szczęśliwy, błogą przyszłość, on mi to zaprzysiął. Nie zdradzi tej przysię-gi, pamiętaj że mnie wien ocalenie życia i honoru. Nie pytaj mię o wyjaśnienie, taje-mnicę poniosę z sobą do grobu; ale masz je-

go słowo. Wyniesie cię na stopień kapitana, a jeżeli będziesz odważnym... Tu skończył... pobłogosławił mię i wydał ostatnie technienie.

BURLEY. *(powstaje, wznosząc szlankę do góry)*

Pamięci zacnego Szlachcica!

WSZYSCY. *(powstają, zdejmując kapelusze i tonem uroczystym)*

Jego pamięci.

M O R T H O N.

Dokończ Love.

L O V E.

Dopełniłem rozkazów ojca i oddawszy cześć jego popiołom, wyjechałem z całym moim majątkiem w kieszeni i moją przyszłością w nadziei. Już mi się zdawało, że widzę siebie na czele moich żołnierzy, że w pierwszej zaraz potyczce zostałem pułkownikiem. Przybywając do Londynu serce moje biło z radości. Zaledwie stanął na miejscu, pi-szę do Lorda Bedford, prosząc o posłuchanie, i zasypiam w tém słodkiem przekonaniu, że za mojem obudzeniem się, patent na kapitana już znajdę na moim stole. Gdy tym-



czasem żadnej odpowiedzi. Następują nowe podania, nowe marzenia...Oczekując ich zjisczenia, wiodłem z wami życie wesołe, i wtedy dopiero smutek mię ogarnął, kiedy po tylu podaniach, po tylu marzeniach, wraz z opuszczającą mię nadzieją, ujrzałem ostatnią gineę w mojej kieszeni. (*wstaje pierwszy, a za nim następnie wszyscy*)

M O R T H O N.

A więc nie otrzymałeś od Lorda Bedford żadnej odpowiedzi?

L O V E.

Żadnej, chociaż dziewięć prośb podałem; i że mnie jeden karczmarz za kilka nędznych gineów nie pozbawi wolności, Morthonie tobie to jedynie winien będę. Jutro moi przyjaciele opuszczam Anglję, w Indiach wejść do służby, i moją odwagą pozyskam stopień którego mi tu odmawia niewdzięczność.

W S Z Y S C Y.

Wyjeżdżasz?...

M O R T H O N.

Dobrze Love, tak powinienes uczynić, chcę ci towarzyszyć, pojedziemy razem.

L O V E.

Ty!...

B U R L E J.

Na honor! i ja gotów, ale skończmyż raz ten poncz. Za pomyślność naszego przyjaciela!

WSZYSCY. (*do Lova*)

Za twoją pomyślność! (*Betty wbiega a za nią Sottgherl*)

## SCENA VIII.

CIŻ SAMI, BETTY i SOTTGHERL.

B E T T Y.

Sir Love, Sir Love!

L O V E.

Coż tam?

SOTTGHERL. (*przybiegając*)

Panie — panie.

L O V E.

No?

B E T T Y.

Mój Wuj Patrick...

S O T T G H E R L.

Sprawiedliwość..

B E T T Y.

UrządNIK sądowy...

S O T T G H E R L.

I jego pacholki,

Tom XII.

3.



B E T T Y.

Przychodzą uwięzić pana!

L O V E i W S Z Y S C Y.

Uwięzić mnie?

S O T T G H E R L.

Aha! za długi.

B E T T Y.

Prędko! skryj się pan.

L O V E.

Losie zawistny!

B E T T Y,

Otóż i mój Wuj.

B U R L E J.

Spokojność, zimna krew, uwaga! (*do Co-  
vellego*) Na zimną krew wysącz tam resztę  
tego poncezu. (*Patrick wchodzi trzymając  
w rękę pismo*)

## SCENA IX.

CIŻ SAMI, PATRICK, COFFREMAN. (*wkrótce  
Pacholki*)

B U R L E J.

A, przecież przychodzisz panie Patrick, cze-  
kamy na ciebie już od godziny. Śniadanie  
gotowe? ten poncez tak nam zaostrzył apetyt.  
ale cóż tam trzymasz w rękę? Jadłospis.

BETTY. (*cicho do Lova*)

Są za drzwiami.

P A T R I C K.

Jadłospis? daj mi pan pokój! Jadłospis! jak by tu szło o jadłospis! to jest długów spis. A zresztą nie przychodzę do pana, ale do mojego lokatora, do mojego dłużnika. Przychodzę go zawiadomić grzecznie: że jeżeli mi natychmiast nie zapłaci tego rachunku, niech nie myśli o zamówioném śniadaniu.

L O V E.

Zapłacę ci.

P A T R I C K.

Zaraz.

L O V E.

Jutro.

P A T R I C K.

Natychmiast.

B U R L E J.

Po śniadaniu.

P A T R I C K.

Przed śniadaniem.

B U R L E J.

A jak wino będzie złe?

P A T R I C K.

Nie będziesz go pan pił.

B U R L E J.

Cóż to? ten stary kuchta chce cię głodem przymuszać....kiedy tak, pójdź z nami Love. Znamy Oberżystów trochę grzeczniejszych od tego bałwana, u których się nie płaci z góry za śniadania. Pójdź.

P A T R I C K.

W imię prawa, opieram się temu! Sir Love nie pójdzie ztąd, albo pójdzie do więzienia, jeżeli nie zapłaci tego rachunku.

W S Z Y S C Y.

Do więzienia!

L O V E.

Ja....

P A T R I C K.

Tak, tak, pan; kiedy kto winien, płacić powinien.

M O R T H O N.

A, tego już nadto! Proszę mi dać ten rachunek, damę wpanu słowo, że jutro będzie zapłaconym.

P A T R I C K.

Zaręczenie malarskie. Upadam do nóg. Pieńędzy albo do więzienia.

M O R T H O N.

Jakto!

BURLEJ,

Nędznik! zobaczmy wiele wynosi ten rachunek, trzeba by nieszczęścia, żeby się pomiędzy nami nie znalazło tyle... (*wyrywa rachunek*) widzianoż kiedy podobne zdzierstwo? trzydzieści dwa funty szterlingi! piękna drobnostka.

PATRICK.

Tyle mi się należy.

BURLEY.

Zaraz ci zapłacimy (*do wszystkich*) jeżeli będziemy mogli; dalej moi przyjaciele, idźcie za moim przykładem, szukajcie, szukajcie dobrze.

COVELLY.

Szukajmy. (*każdy sięga do kieszeni i wyjmuje pewną ilość pieniędzy*)

LOVE.

Ale ja nie pozwolę — nie ścierpię...

PATRICK.

Ale czemu pan nie masz pozwolić, wszakże to przyjaciele.

BURLEJ.

Oto wszystko.

PATRICK.

Licz pan powoli.

BURLEJ,

Wszystkiego... 7 funtów szterlingów — 7 od  
3\*



32 zostaje 25 (*chcąc mu pieniądze włożyć w rękę*) które innym razem zapłacimy. A teraz niech dają śniadanie, tylko prędko.

P A T R I C K.

Ani myślę, co się to ma znaczyć! (*do Betty która go prosi*) Daj mi pokój!...chcę wszystko albo nic.

BURLEY. (*chowając pieniądze*)

No! to będziesz miał, nie.

P A T R I C K.

A więc do więzienia. Wejdźcie wpanowie.

L O V E.

Zuchwały! (*Morton wstrzymuje go*)

BETTY. (*do Lova*)

Wstrzymaj się pan, (*do Patricka*) mój Wujku!

S O T T G H E R L.

Panie Patrick!

P A T R I C K.

Pełnijcie waszą powinność (*wchodzi Coffreman a za nim pacholki*)

## S C E N A X.

CIŻ, MARGRABIA DUDLEJ. (*ukazuje się w głębi*)

BETTY. (*sposzregłszy Dudleja*)

Wstrzymajcie się, jakiś pan. (*milczenie powszechne*)

D U D L E J.

Cóż to jest?

P A T R I C K.

Panie,

M O R T H O N. (*cicho*)

Margrabia Dudley poufały Lorda Bedford; który jest bliskim krewnym i ulubieńcem pierwszego Ministra.

P A T R I C K.

Co JW. pan rozkaże?

D U D L E J.

Wszakże Sir Tom Love mieszka w tym domu?

L O V E.

Margrabio, widzisz go przed sobą.

D U D L E J.

Przychodzę tutaj z polecenia Lorda Bedford, który mię raczy zaszczycać swoim zaufaniem.

L O V E.

Lorda Bedford.

P A T R I C K. (*n. s.*)

Co słyszę?!..

COFFREMAN. (*do pachotków*)

Odejdźcie, odejdźcie....

D U D L E J.

Może pan powinienbyś się żalić na niego?

L O V E.

Panie...

D U D L E J.

Czytał pańskie podania, pragnie z nim pomówić, będę miał za największą przyjemność przedstawić was Lordowi Bedford.

L O V E.

Możesz to bydz?

D U D L E J.

Proszę chciej mi pan towarzyszyć.

P A T R I C K.

Wasza łaskawość daruje mi.... ale... bo ja....

D U D L E J.

Mości urzędniku, czy zaręczenie margrabiego Dudlej jest dostateczném?...

C O F F R E M A N.

Ach! bez wątpienia...

P A T R I C K.

Ale bo to 32 funty szterlingi.

D U D L E J.

Nie pytam się o ilość długu, Lord Bedford zapłaci.

P A T R I C K. *(cofając się)*

Lord Bedford najbogatszy z całego Londynu!

M O R T H O N. *(cicho do Lova)*

Widzisz mój przyjacielu że nigdy nie trze-

ba rozpaczać, jużesny powrócili z Indji.

L O V E,

Wszystko to zdaje mi się snem. Twoja to przyjaźń przyniosła mi szczęście.

D U D L E J.

Pójdź kochany Tom Love, Lord Bedford oczekuje cię,

BURLEJ COVELLY FOSTER i BLIFIELD  
(razem.)

Love, bywaj zdrów!

L O V E. (podając im ręce)

Do widzenia moi przyjaciele! Margrabio....

D U D L E Y. (odchodzi z Love)

Idźmy.

BURLEY COVELLY FOSTER, I BLIFILD.  
(razem)

Życzymy ci szczęścia kochany Love, do widzenia!

*Zmiana dekoracji. Scena przedstawia ogród pensji Królewskiej w Tonningthon o kilka mil od Londynu odległej, w głębi widać wielki budynek, do drzwi głównych na przeciw widza będących, wchodzi się po kilku schodach. Na przodzie sceny po lewej i po prawej stronie są altanki, przed jedną z nich stoi stół i parę krzesełek*

## SCENA XI.

THOBY. *(grabi ziemię w głębi teatru)*

Uf! gorąco! ale też mój ogród jak cacko teraz wygląda, jak to ugrabiono! a przecież, jak ta młoda szarańcza wypadnie, całą pracę wniwecz obróci; oho, już czas zadzwonić.

*(odchodzi)*

## SCENA XII.

GUWERNANTKI PENSJONARKI RÓŻNEGO  
WIEKU.

*(Jak tylko dzwon dał się słyszeć, w tej samej chwili główne drzwi otwierają się tłum pensjonarek jednakowo ubranych ciśnie się do ogrodu i napelnia go w jednej chwili. Radość dziecinna, krzyki i igraszki młodych pensjonarek, powinny przedstawić szczerzy obraz chwil zabawy. Po niejakięj chwili bawiąc się wybiegają za scenę, Guwernantki idą za niemi)*

## SCENA XIII.

LADY WORCESTER MISTR. HOTTWARD.

LADY. (z widoczną niespokojnością)  
Mistriss masz powody zalić się na moją przybraną córkę?

MISTRISS HOTTWARD

Cokolwiek rozżalona, traci ochotę do nauki (ze znaczeniem) ale jak Miledy sama musiałaś uważać, trafia się to tylko wtenczas...

LADY WORCESTER

W samej rzeczy uważałam że Helena... ale kończ Mistris, kończ.

MISTRIS HOTTWARD

Od czasu jak Lady Windsor, jej matka chrzestna, tak nagle, tak nadzwyczajnie zaczęła się zajmować jej losem; od czasu jak poznała u niej wielki świat, który się w jej sąlonach gromadzi, umysł tej paniienki prosty i szczery, nie jest już dzisiaj tem czem był dawniej. Zalotność go zajęła; nauka nie ma już dla niej powabów, a zamiłowanie wielkiego świata mało zgodne z jej majątkiem, i z zamiarami twojemi Miledy...



LADY WORCESTER.

Oh! tak, zamiłowanie wielkiego świata byłoby dla niej nieszczęściem....

*(Helena zamysłona, trzymając w ręku różę którą z liści obiera, postępuje wolno, staje przy kulisie i roztargniona zrywa inną którą podobnie jak pierwszą oskubuje.)*

Mistris, dziękuję ci, zasługujesz na zupełne zaufanie moje; każ tu przyjść Helenie.

H O T T W A R D.

Otóż i ona!... widzisz Miledy, nie poszła bawić się z swojemi towarzyszkami. *(obie patrzą na nią przez chwilę)*

## SCENA XIV.

LADY. WORCESTER. HELENA. MISTRIS.

HOTTWARD.

M I S T R I S. H O T T W A R D.

*(po krótkim milczeniu)*

Heleno!

*(Helena obraca się przez połowę, Mistris pokazuje jej Miledy, Helena wydaje krzyk radości, upuszcza kwiaty i biegnie jak dziecko uściskać Miledy. Mistris odchodzi)*

S C E N A X V

LADY WORCESTER, HELENA.

H E L E N A.

Oh! dzień dobry Milady, moja najdroższa matko! dopiero wczoraj wieczór wróciłam, niewidziałam cię dwa dni! Jakże jestem szczęśliwą, że dziś mogę cię uściskać!

L A D Y W O R C E S T E R.

Moja Heleno!

H E L E N A.

Oh! nie, nie tak, nazywaj mię swoją córką.

L A D Y W O R C E S T E R.

A więc dobrze — moja córko...

H E L E N A.

Ah! tak to co innego! Teraz jestem spokojną. Obawiałam się... Mistris Hottward powiedziała że mię będziesz łajać.

L A D Y W O R C E S T E R.

Czy tak? a więc powinnam?...

H E L E N A.

Oh! nie, nie, droga matko, bynajmniej. — Osądź sama czy w tém moja wina, tak byłam jeszcze utrudzoną po balu; wyobraź sobie mamó, wszystkie kontredanse tańczyłam.

Potém trzeba było pisać wypracowania, głowa mię tak bolała. A do tego, nie wiem sama czém się to dzieje, ale myślałam o tych pięknych strojach, które widziałam na balu u mojej matki chrzestnej. Ah! moja najdroższa mamo, ten wieczór był tak świetny jak u dworu, jak u Króla, tak mi powiedziano. Opiszę ci go natychmiast: były damy które miały suknie.....

L A D Y W O R C E S T E R.

Domyślam się. Wszystko na co dziś patrzysz moja Heleno, przybiera żywe kolory twojego wieku, i nie ganię tego bynajmniej, że lubisz to co się do ciebie uśmiecha. Ale obawiam się, żeby to upodobanie nie wzięło góry nad twoim rozumem i niewymazało z niego nawyknień spokojnych tak zgodnych z twojem położeniem. (*z westchnieniem*) Twoje serce nie ma jeszcze doświadczenia, ale twój umysł może mię już rozumieć....Przysuń mi krzesło. (*Zdaje się głęboko myśleć nad tém, co ma dalej mówić. Helena cokolwiek niespokojna przysuwa krzesło z altany. Lady Worcester siada, bierze za rękę Helenę i uśmie-*

*cha się do nięj, potém zaczyna mówić wpatrując się z uwagą w Helenę, jakby chciała czytać w jęj oczach*) Od miesiąca...pamiętny mi ten dzień, Lady Windsor, twoja matka chrześtna, zaczęła się żywo zajmować tobą. Dawniej niemysłała bynajmniej o biednej sierocie....

H E L E N A.

Nie byłam nią Milady, bo ty nazywałaś mię swoją córką.

L A D Y W O R C E S T E R.

Przez dziesięć lat nie podzielała, nie pragnęła podzielać ziemną ten tytuł; nie mogę się więc teraz dosyc wydziwić, zkad jęj tak nagle przyszła ta myśl, ta usiluość wabienia cię do siebie, i przedstawiania na świetnych balach, tak niestosownych z twojém wychowaniem, z twojém ubóstwem.

H E L E N A.

Ja właśnie mam chciałam się ciebie o to zapytać, bo i mnie to zadziwiło.

L A D Y W O R C E S T E R.

Na próżno staram się dociec przyczynę. Czy nie powiedziała ci przypadkiem co takie-

go coby mogło wyjaśnić nam jej postępowanie.

HELENA. (*spuszczając oczy*)

Milady.....

LADY WORCESTER.

Wahasz się?

HELENA.

Nie śmiem...

LADY WORCESTER.

Rumienisz się.

HELENA.

Ale bo...wiesz mamó, że ona mię zaledwie znała.

LADY WORCESTER.

I cóż tedy?

HELENA.

A więc....kiedy po długim niewidzeniu, ujrzęła mię raz pierwszy, zdaje mi się, że powiedziała iż jestem ładną.

LADY WORCESTER.

Ładną?

HELENA.

Tak, było to w ten sam dzień kiedy mię do niej posłałaś z Mistriss Hottward. Przypominasz sobie mama, byłam wtenczas pięknie ubraną, chciałam się jej podobać...a ona na-

wet nie spojrzała na mnie; zdawała się być stroskaną, jakiś smutek malował się na jej twarzy. Byłabym się rozplakala ale był u niej jeden pan Margrabia Dudlej.

L A D Y W O R C E S T E R.

Dudlej.

H E L E N A.

Nagle moja matka chrzestna rzucając z niechęcią list który czytała zwróciła się do mnie i zaczęła wpatrywać się we mnie z taką uwagą... Myślałam, że mię będzie łajać; a tu przeciwnie, moja matka chrzestna uśmiechnęła się i rzekła do Margrabiego: Widzisz więc Margrabio...i wskazała na mnie....

L A D Y W O R C E S T E R.

Czy tak?

H E L E N A.

Zarumieniłam się; wtenczas zatrzymała mię przez cały dzień, to było pierwszy raz, Za dwa dni, jak ci mammo wiadomo, znowu przysłała po mnie. Oh! w tedy była jeszcze dla mnie grzeczniejszą, kazała mię pięknie ubrać, ustroiła mię w klejnoty. Ah! jak mi było w nich pięknie! A potem....osądź sama naj-



droższa matko, czy szczere są dowody jej życzliwości ku mnie: kazała przywołać malarza, który przy niej robił mój portret.

L A D Y W O R C E S T E R.

Dla czegoż mi nic o tém nie mówiłaś?...

H E L E N A.

Ale bo...ona mi zakazała.

L A D Y W O R C E S T E R.

Już tajemnice.

H E L E N A.

Oh! nigdy innych, i ta zbyt ciężyla mi na sercu.

L A D Y W O R C E S T E R. (*wstaje zamysłona*)

Nie mogę pojąć....Lady Windsor tak zręczna w wprowadzeniu intryg...(*zwracając się nagle*) Heleno!

H E L E N A.

Mamo!

L A D Y W O R C E S T E R. (*z żywością biorąc za rękę Helenę*)

Na tych wspaniałych balach poznałaś wielki świat?

H E L E N A.

Tak mamo, cały wielki świat Londynu, a nawet jednego wieczora spodziewano się Miłorda Bedford.

LADY WORCESTER.

Milorda Bedford? Czy miałaś mu być przedstawioną?

HELENA.

Oń! mogłam bezpiecznie. Milady kazała dla mnie przygotować najpiękniejsze suknie. Byłam najświetniej ubraną z całego balu.

LADY WORCESTER.

Dosyc. (*odwraca się cokolwiek od Heleny, kładzie rękę na czole i rozważa*)

HELENA. (*z obawą*)

Cóż ci jest matko? może ja w czem zawi-  
niłam?

LADY WORCESTER.

Nie, moje dziecię. (*czule*) Heleno, gdybym  
żądała od ciebie, ażebyś dla mnie wyrzekła się...

HELENA. (*żywo*)

Odwiedzać moją matkę chrzestną?

LADY WORCESTER,

Tak jest.

HELENA.

Jeżeli tego żądać będziesz mamó, będę po-  
słuszną; ale...

LADY WORCESTER.

Dosyc, pomyślę nad tem. Idź do twoich  
towarzyszek i nie myśl już o tej rozmowie.

HELENA. *(po chwili namysłu)*

Nie pocałujesz mię mamę?...

LADY WORCESTER. *(całuje ją, Helena  
odchodzi)*

## SCENA XVI.

LADY WORCESTER. *(później)* MISTRISS HOTT-  
WARD.

LADY WORCESTER.

Margrabia Dudlej... powiernik, wykonawca  
intryg lorda Bedford. Jakież podejrzenie to  
imię obudza w moim umyśle; ten bal, na  
którym levd...

MISTRISS HOTTWARD.

Milady!

LADY WORCESTER.

Cóż tam?

M. HOTTWARD.

Lady Windsor pragnie z panią mówić.

LADY WORCESTER.

Jest tutaj?

M. HOTTWARD.

Tak milady, w towarzystwie margrabi Du-  
dlej.

LADY WORCESTER.

Margrabia Dudlej! to mię zadziwia! Samo

jego imię powinno mu wzbronić wstępu do  
mojego domu.

M. HOTTWARD.

Jeżeli miłady rozkaże.... pójdę....

LADY WORCESTER.

Nie, przez wzgląd na Lady Windsor idę sa-  
ma na ich przyjęcie.

## SCENA XVII.

TEŻ SAME I HELENA

HELENA. (*przybiegając*)

Mamo! mammo! moja matka chrzestna!

LADY WORCESTER.

Wiem, i właśnie idę.

HELENA.

Oh! już nie potrzeba miłady. Widziałam  
jak wysiedli z pojazdu przed wielką bramą, i  
powiedziałam im, że jesteś w ogrodzie. Już  
tu idą.

LADY WORCESTER. (*do mistriss Hottward*)

Mistriss, zostaw nas.

## SCENA XVIII.

LADY WORCESTER, LADY WINDSOR, MAR-  
GRABIA DUDLEJ, HELENA.

LADY WINDSOR.

Witam cię miłady.

D U D L E J:

Lady Worcester raczy przyjąć moje uszanowanie.

LADY WORCESTER. *(oddaje mu lekki ukłon, mówi do lady Windsor)*

Milady, właśnie miałam iść na twoje spotkanie,..

L A D Y W I N D S O R.

Prześliczny ogród, nim moja córka poczyni przygotowania do opuszczenia pensji, jeżeli milady pozwoli, możemy tu równie przyjemnie jak w jej salonie.....

L A D Y W O R C E S T E R.

Jak to! Przecież pani nie na zawsze chcesz zabrać moją wychowankę?

L A D Y W I N D S O R.

Na zawsze milady, dla tego sama przybywam. To cię musi cieszyć Heleno, nieprawdaż? no, odpowiedz bez wahania.

H E L E N A.

Tak milady. To jest... bez wątpienia; lecz.... jeżeli mama....

L A D Y W I N D S O R.

W jej wieku najmniejsza przyjemność ma tyle wdzięku!... idź, weź zasłonę, każę cię przebrać w domu.

HELENA. (*cicho do lady Windsor*)  
Czy znówu będzie bal?

LADY WINDSOR. (*cicho*)

Tak. (*głośno*) No, idź moja kochana. (*Helena mimo tego rozkazu zbliża się do lady Worcester, chcąc wyczytać z jej oczu, czy na to zezwala*)

LADY WORCESTER. (*która w milczeniu słuchała wszystkiego, nie patrząc na Helene, mówi do niej z żywością*)

Idź!

HELENA. (*przerażona odpowiedzią i poruszeniem lady Worcester, zbliża się po chwili do lady Windsor i mówi*)

Staraj się milady, żeby moja dobra mama nie bardzo się gniewała.

(*Dudlej odprowadza Helene, wgląb i wraca.*)

## S C E N A XIX.

LADY WINDSOR, LADY WORCESTER,  
MARGRABIA DUDLEJ. (*chwila milczenia. Lady Worcester zaledwie może wstrzymać swój gniew, a lady Windsor uśmiecha się tryumfując*)



DUDLEJ. (*tonem dworaka*)

W samej rzeczy, pobyt w tém miejscu jest zachwycający; a to piękne grono dziewic, które ztąd widzę, jeszcze ten urok powiększa.

LADY WORCESTER. *patrzac na niego z powagą, podczas kiedy lady Windsor daje mu znak wachlarzem*)

Niech pan margrabia raczy pamiętać, że nie jest na pokojach lorda Bedford, lub w budoarze Anny de Bulen. (*zwracając się nagle do lady Windsor*) Milady, milczałam, kiedy przed chwilą wbrew mojej władzy, rozkazałaś jednej z moich uczennic przygotować się do towarzyszenia ci; milczenie to, nie oznaczało bynajmniej mojego przyzwolenia.

LADY WINDSOR. (*wrażona*)

Milady!....

LADY WORCESTER.

Przyjęłam na siebie święty obowiązek zastąpić jej matkę; sumienie moje nakazuje mi wypełnić go, jest pod moją opieką i nie mogę

pozwoić aby się z tą oddaliła. Przebacz mi-  
 ledy, moja wychowanka, moja córka, już nie  
 opuści tego schronienia. (*w czasie tój rozmowy*  
*Margrabi Dudley podał krzesło lady Windsor,*  
*która siadła. Po tych słowach powstaje*  
*z wzruszeniem*)

DUDLEJ. (*z cicha do Lady Windsor*)

Czy Lady będziesz usprawiedliwiła się  
 przed Lady Worcester? (*Lady Windsor po-*  
*stępuje naprzód*)

L A D Y W I N D S O R.

Milady, pochwalam twoją roztropność, su-  
 rowość i pogardę tego świata lekkomyślnego,  
 w którym na nieszczęście przepędzam dni mo-  
 je. Lecz jakimkolwiek jest ten świat, trze-  
 ba się w nim ukazać gdy nadejdzie pora; ilu-  
 bo władza milady nad twojemi uczennicami,  
 jest tak godną czci, przecież tam wstrzymać  
 się musi, gdzie rodzice sami kładą kres tej  
 władzy nad swojemi dziećmi.

L A D Y W O R C E S T E R.

Jakto? Helena? Sądziłam, że ta młoda sie-  
 rota, bez majątku, zapomniana aż do tej chwi-

li, mnie tylko miała swoją opiekunką, a ustronń tę za całą przyszłość i nadzieję.

L A D Y W I N D S O R.

Omyliłaś się; ustaliłam los Heleny, wydaję ją za mąż.

L A D Y W O R C E S T E R.

Tak młoda!...*(patrzy na Dudleja)*

L A D Y W I N D S O R.

Kiedysię wydarza partja zaszczytna, nie można odwlekać. Uspokój się, los twojej wychowanki będzie godnym zazdrości....

L A D Y W O R C E S T E R.

Ah Milady, obyś się tylko nie stała przyczyną jej zguby!

L A D Y W I N D S O R.

Zguby!...

D U D L E J.

To powątpiewanie....

L A D Y W I N D S O R.

Otóż ona...Milady pożegnasz się z Heleną. Już od tej chwili używam moich praw. To co wspomniałam o związku małżeńskim, jest jeszcze dla niej tajemnicą.

D U D L E J. *(bardzo grzecznie)*

Prosimy cię milady abyś nie wspominała

o tém Helenie. (*obie idą cokolwiek w głąb, Helena wraca ze wszystkimi pensjonarkami, trzymając w rękę zasłonę*)

## SCENA XX.

POPZEDZAJĄCY, HELENA. WSZYSTKIE PEN-  
SJONARKI. (*Helena naprzód powitała Lady  
Windsor, a potem zbliża się do Lady Wor-  
cester. Na znak téjże, uczennice które chcia-  
ły wrócić do pokojów, zatrzymują się i zbli-  
żają; otaczając Lady Worcester i Helenę.  
Dwóch lokai Lady Windsor, weszło na scenę*)

LADY WORCESTER. (*wzruszona*)

Heleno!

HELENA.

Matko!

LADY WORCESTER.

Już nie będziesz mię tak nazywała!

HELENA.

Zawsze!...dla czegożby nie?

LADY WORCESTER.

Musimy się rozłączyć, opuścisz mię.

HELENA.

Ja!...nie, nie chcę, zostanę! (*rzuca zasło-  
nę którą trzymała, i wspiera głowę na łonie  
Lady Worcester*)

L A D Y W O R C E S T E R.

Tego się spodziewałam po twojem sercu, teraz wszystkie moje nadzieje zostały spełnione.

HELENA. (*ze łzami*)

Zkądże ten rozkaz?...ktoż go wydał? (*patrząc na Lady Windsor z oburzeniem dziecinnym*) To ty Milady.

L A D Y W O R C E S T E R.

Tak moja droga Heleno... (*Helena chce odpowiedzieć*) Ten rozkaz ma być zakładem twojego szczęścia, to powinno nas zaspokoić.

L A D Y W I N D S O R.

Przecież Helena nie powątpiewa o mojej przyjaźni.

HELENA.

Nie, Milady. (*obraca się z żywością do Lady Worcester*) Ale.....

L A D Y W O R C E S T E R.

Trzeba być posłuszną, to twoja powinność, równie jak pamiętać o ustroniu w którym przeminęły najpiękniejsze dni twojego życia, o towarzyszkach które cię kochały, i o tej która ci matką była. (*ściska ją, Helena od-*

daliwszy się od niej, zegna przyjaciółki które ją otoczyły)

LADY WINDSOR. (*do służącego*)

Powóz.

HELENA. (*na ten wyraz wraca z żywością w objęcia Lady Worcester*)

Matko! ja nie mogę cię opuścić!

LADY WINDSOR. (*nieco urazona*)

Heleno!...

LADY WORCESTER.

Moje serce cię nieodstąpi. Zapewniają ci los świetny, ciesz się nim moje dziecko, i ja będę szczęśliwą. Ale gdyby kiedy dotknęło cię nieszczęście, żal, wracaj w moje objęcia; tu znova odzyskasz twoje towarzyszkę, twoje schronienie, twoją rodzinę... albo wezwij mnie tylko, a ja z pośpiechem przyjdę do ciebie.

DUDLEJ. (*cicho do Lady Windsor*)

Powóz czeka.

LADY WINDSOR. (*biorąc Helenę za rękę i oddalając ją*)

Pójdźmy Heleno! (*ciszéj*) Dla czegoż



te łązy? (w chwili kiedy Margrabia Dudley i Lady Windsor oddalają się nieoprowadzając z sobą Helenę, ta wraca ku Lady Worcester, która usiadła wzruszona)

H E L E N A.

Matko, daj mi twoje błogosławieństwo. (klęka, wszystkie pensjonarki także klękają, Lady Worcester powstawszy błogosławi Helenę)

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

## AKT II.

(Scena przedstawia gabinet lorda Bedford, biórko, fotel, i. t. p.)

### SCENA I.

WALPOOL, WILLJAMS.

WALPOOL.

Panie Willjams, będąc zaszczycony ufnością, jako posłaniec baczny i ostrożny, zanieś ten bilet margrabiemu Dudlej.

WILLJAMS.

Spieszę!

WALPOOL. (*sam*)

Nie rozumiem jeszcze intrygi, którą prowadzimy. Lady Windsor dziś trzykrotnie przysyłała, zapewne interes kobiecy. Lord Bedford umie milczeć, a ja, jego najzaufańszy sekretarza, nie wiem prawie....

(*głos za sceną*)

Lord Bedford.

DZONS. (*we drzwiach*)

Lord Bedford!

### SCENA II.

LORD BEDFORD, WALPOOL.

Panie Walpool.

<http://ten.org.pl>

W A L P O O L.

Milordzie! (*n. s.*) Zdaje się nie w humorze, a więc przeciwnie, coś przyjemnego nas zajmuje. Niezawodnie intryga miłosna.

LORD. (*do siebie, uśmiechając się*)

Król wyjeżdża, będę jutro wolnym.

WALPOOL. (*n. s.*)

Uśmiechnął się.

L O R D.

Panie Walpool!....

W A L P O O L.

Milordzie...

L O R D.

Dudlej nie był u mnie?

W A L P O O L.

Przebacz milordzie... Czy oczekujesz go?

L O R D.

Z pewną osobą....

W A L P O O L.

Z damą?....

LORD. (*surowo*)

Nie mówiłem tego wcale.

W A L P O O L.

Przebacz milordzie, dwa razy był tego rana; ale wasza Wielmożność byłeś u dworu. Mówił, że przyjdzie wkrótce.

L O R D.

Ułóż te rapporta, przejrzyś je, i odpowiesz; nie mam czasu zajmować się interesami. Dzisiejszą noc przepędzę w moim małym zamku.

W A L P O O L.

Ah!

L O R D.

Niech naprzód wyszlą... tam będę wieczerzał.

WALPOOL. (*n. s.*)

Nie omyliłem się. (*głośno*) Sam?...

L O R D.

Nie..... trzy..... dwie damy.

WALPOOL. (*n. s.*)

Byłem pewny.

L O R D.

Odejdź, jak tylko Dudlej przybędzie....

W A L P O O L.

Mam donieść?...

L O R D.

Tak,... natychmiast... (*Walpool wychodzi*)

### SCENA III.

LORD BEDFORD. (*sam*)

Nigdy nie byłem tak niecierpliwy. (*siada*,  
<http://rcin.org.pl>

*wyjmuje miniaturę z kieszeni i patrzy na nią z uśmiechem*) Otóż ta zachwycająca piękność... Na honor, jeżeli nie ma w niej pochlebstwa, rzadki podarunek, drogo mię będzie kosztował. Mniejsza... czarująca,... *(wstaje)* Ale coś mój młody Szkot opóźnia się, Dudley mię przecież zapewnił... A lady Windsor oczekuje...

W A L P O O L.

Milordzie!....

LORD. *(z nieukontentowaniem)*

Cóż tam?

W A L P O O L.

Margrabia Dudley.

L O R D.

Ah!.. czy sam?

W A L P O O L.

Nie milordzie, z jakimś młodym człowiekiem.

L O R D.

Niech wejdą... Sam ich wprowadź. *(siada)* Uszczęśliwiam biednego szlachcica, którego los przywiódł do nędzy i który nudzi mię swojemi prośbami... mam przyrzeczenie lorda ministra; będę go protegował. Stopień, majątek, nadzieje; czyliż to nie dosyć?

WALPOOL. (*anonsuje*)

Margrabia Dudley i sir Love. (*wchodzą oba*)

## SCENA IV.

LORD BEDFORD, DUDLEJ, TOM LOVE,  
WALPOOL.

D U D L E J.

Milordzie, pozwól przedstawić sobie młodego Love Mac Fild. (*Love kłania się z uszanowaniem*)

L O R D.

Przybliż się sir Love; czekałem na ciebie (*uważa go przez chwilę*)

DUDLEJ. (*z cicha do Love*)

Lord Bedford uważa cię.

LORD. (*n. s.*)

Powierzchnowość przyjemna. (*do Walpool*)  
Niech tu nie wpuszczają nikogo. (*Walpool odchodzi*)

DUDLEJ. (*cicho do Love*)

Pierwszy rzut oka był przyjazny.

## SCENA V

LORD, DUDLEJ, TOM LOVE. (*Lord siedzi, Dudley stoi nieco po za krzesłem lorda, Tom Love na przeciwnéj stronie*)



L O R D.

Sir Love, czytałem twoją prośbę, zdaje mi się, żeś kilka napisał...

DUDLEJ. (*uśmiechając się*)

Tak jest milordzie.

L O R D.

Spóźniłem się z odpowiedzią?... Ważnemi sprawami zajęty, mało mam chwil wolnych. Mówiono mi: że moje milczenie przyprowadzało cię do rozpacz.

LOVE. (*spokojnie i szlachetnie*)

Nie milordzie; z uległością widziałem ni-  
knącą jedyną moją nadzieję. Mało świadom  
zwyczajów świata, dziwiłem się, że lord Bed-  
ford, który ma taką władzę, tyle wpływu, za-  
pominał o swoim przyrzeczeniu. Ale bez o-  
bawy spoglądałem na moje nieszczęście, chcia-  
łem odjechać do Indji i zostać żołnierzem.

L O R D,

Żołnierzem!

DUDLEJ. (*cicho do lorda*)

Z rozpaczy.

L O R D.

Bardzo pięknie, otworzę ci tę drogę szczę-  
ścia, na którą pragniesz wejść z zapalem.  
Przyrzekłem to twojemu ojcu.

L O V E.

Ali Milordzie! żałuję mocno że powątpie-  
wałem o prawdzie twojego serca!

D U D L E J.

Widzisz sam.

L O R D.

Nieżadam bynajmniej od ciebie wdzięcz-  
ności. Bądź szczerym, powiedz mi, jak da-  
leko w myśli wznosiła cię chęć wyniesienia  
się?

L O V E.

Nie raz marzyłem sobie, że po dwudziestu  
bitwach, można zostać kapitanem.

L O R D.

Kapitanem? —dobrze więc...Za godzinę bę-  
dziesz pułkownikiem.

L O V E.

Pułkownikiem!...ja! Milordzie?.. ja dowódz-  
cą pułku.

L O R D.

Wkrótce otrzymasz patent.

L O V E.

Oh mój ojcie!...nie mówilesz mi że tyś za-  
szczytu!...Pułkownikiem Milordzie?

L O R D.

To jeszcze nie wszystko.

L O V E.

Słucham z uszanowaniem.

DUDLEJ. (*cicho do Łova*)

Coż ci mówiłem.

L O R D.

Do stopnia pułkownika, potrzeba koniecznie dołączyć odpowiedni majątek. Jesteś szlachcicem i to całe twoje mienie, ale można twój los polepszyć! Myślałem o tém... trzeba się ożenić.

L O V E.

Ożenić?

L O R D.

Natychmiast.

L O V E.

Natychmiast, Milordzie? Jestem ubogi, nie znam żadnej kobiety któraby chciała...

B U D L E J.

Wiedziano o tém i wybrano ci. Jego Wielmożność daje ci małżonkę.

LOVE. (*spoglądając na Dudleja z powagą*)

Daje mi małżonkę.

D U D L E J.

Którą wyposażają. ..

L O R D.

I cóż?

D U D L E J.

Przyjmij że ją i zióż dzięki Jego Wielmożności.

L O V E.

Milordzie, gdybym niebył pewny że stoję przed tobą, albo sądziłbym że to jest snu marzenie, albo mniemałbym że brak doświadczenia, wystawia mię na igrzysko żartów, jednego z twoich dworzan.

DUDLEJ. (*do Lova*)

Psujesz twoją sprawę.

L O R D.

Zkądże to powątpiewanie. Dudlej mówi prawdę, chcę się opiekować tobą. Zajęty twoją przyszłością, nadaję ci stopień i łączę związkiem małżeńskim z młodą osobą którą się także opiekuję. Ty jej nadasz twoje nazwisko, ona cię wzbogaci. Podobne małżeństwa bardzo często się zawierają. Miałżebyś odrzucać moją ofiarę?

L O V E.

Ah Milordzie, byłbym zbyt występny... ale przebacz trwodze którą twoje dobrodziejstwa obudzają we mnie. Przyjac rękę kobie-

ty nie znając jej, jest to zobowiązywać się zbytecznie.

DUDLEJ. (*do Lova*)

Coż cię obchodzić może?...

LORD. (*dając mu miniaturę*)

Patrz.

DUDLEJ. (*do Lova*)

Oto jej miniatura.

L O V E.

O nieba!... tyle wdzięków!...tak młoda!... Milordzie, niepodobna aby ten skarb dla mnie był przeznaczony!... Miałażby ta być małżonką którą Milord....nie wiem gdzie jestem!...

DUDLEJ. (*biorąc na powrót miniaturę*)

Podobieństwo zupełne.

LOVE. (*z niespokojnością*)

Młoda, piękna i bogata!... Coż o tem myśleć?...

L O R D.

Sir Love, los twój w twoich rękach, umiej z niego korzystać. Dziś albo małżeństwo i patent na pułkownika, albo nie ukazuj się więcej przedemną.

L O V E.

Milordzie...

DUDLEJ. (*do Lova*)

Taki niezmienny warunek. Lorda.

L O V E.

Jakaż tajemnica!...

L O R D.

Twoja odpowiedź?...

L O V E.

Milordzie... szczęście moje mięsza mię i zdumiewa... Ta młoda osoba jest tak piękną. Rzucić się do jej nóg byłoby największym szczęściem, ale przyjąć jej rękę bez jej zezwolenia, może przeciw jej chęci... (*Lord słucha z uwagą, Dudlej zbliża się do niego*) Ah Milordzie, jakakolwiek cenę twoje dobrodziejstwa mają w moich oczach, choćbym się nawet na twój gniew miał narazić, nie mógłbym nigdy!... (*Lord czyni poruszenie*) Przebacz Milordzie, przebacz! Pozwól mi widzieć się z nią przez chwilę.

DUDLEJ. (*cicho do Lorda*)

Może bez niebezpieczeństwa.

L O R D.

Pozwalam.

6\*



LOVE. (*n. s.*)

Zobaczę ją przynajmniej.

LORD. (*z uprzejmością do Dudleja*)

Przedstawisz młodego Love u Lady Windsor.

LOVE. (*n. s.*)

Windsor...

DUDLEJ. (*cicho do Lorda*)

Już go tam oczekują.

L O V E.

Więc u Lady Windsor Milordzie?..

L O R D.

Za godzinę przyjdiesz po twój patent.'

LOVE. (*klaniając się*)

Milordzie....

L O R D.

Za godzinę...

DUDLEJ. (*do Lova*)

Jego Wielmożność nas pożegnał. (*wyprowadza Sir Lova, Lord odchodzi*)

(*Scena zmienia się, w bogaty salon w pałacu Lady Windsor; troje drzwi w głębi. Zwierciadło stojące po prawej aktorów. Z boku stolik a przed nim fotel, na sto-*

liku leżą drogie kamienie i kwiaty do ubrania. Po lewej piękne damskie biurko i t. p. meble pełne przepychu ozdabiają salon)

## SCENA VI.

LADY WINDSOR, HELENA, JAMES, JACK,  
DWIE PANNY DO USŁUGI.)

(Lady Windsor pisze na biórku, spoglądając kiedy niekiedy na Helenę, która stoi przed zwierciadłem i przymierza rozmaite ubrania na głowę)

HELENA. (przymierzając wieniec kwiatów kolorowych)

Nie!... oh nie....! nie można, za ciemny do koloru moich włosów... dajcie mi coś ładniejszego... (szuka pomiędzy kwiatami)

LADY WINDSOR. (skończyła pisać, patrzy na Helenę)

Dobrze; będzie zalotną. (adresuje list) Lord Bedford nie uwiadomił mię jeszcze czy widział tego młodzieńca... Jest em tak niespokojną.... gdyby się nasz zamysł miał nie u-

dać..... (wstaje, dzwoni i idzie naprzód, trzymając bilet, który złożyła)

JEDNA Z PANIEN. (pokazując bukiet)  
Niech miss ten przymierzyć raczy.

HELENA. (biorąc)

Oh jak ładny! w tym mi bardzo dobrze, prawda?..... (zdejmuje go prędko, zawstydzona) Ale nie, to za bogaty dla mnie. (zmałym westchnieniem) Oh tak... to pewno dla milady.... ja m sprobowała tylko. (chce oddać)

L A D Y W I N D S O R.

Mylisz się moja Heleno; on równie przystoi młodości jak bogactwu... Wybieraj, rozrządzaj wszystkiem; ten ci się podoba, niech zdobi twoje skronie, będziesz jeszcze piękniejszą. (James wszedł i czeka)

H E L E N A.

Jakżeś dobrą moja matko. (patrzac na ubranie) Mogę?... (do panien) przypnijcie mi go natychmiast.

L A D Y. (n. s.)

Już ją mamy. (do służącego) James, czy rozniesiono wszystkie zaproszenia na bal?

J A M E S.

Tak jest lady.

L A D Y.

Niech pamiętają wszystkie moje rozkazy....  
Zanieś ten bilet natychmiast do margrabiego  
Dudlej, zaczekasz na odpowiedź. (służący wy-  
chodzi)

HELENA. (stając przed lady)

A co milady, czy mi tak dobrze?... Ah jak  
mi się przypatrujesz!

LADY. (roztargniona)

Niepodobna, aby się nie zajął....

H E L E N A.

Co mówisz milady?

L A D Y.

Myślałam tylko... Mam ci coś tak ważnego  
powiedzieć... i...

H E L E N A.

Cóż takiego?.. czy to się tycze balu?..  
Oh, może lord Bedford na nim będzie?..

L A D Y.,

Spodziewam się.

JACK. (wchodząc)

Milady, sekretarz lorda Bedford...

LADY. (z radością)

Ah przecię..., niech wejdzie... (z żywością)  
Heleno, kończ swoją toaletę, weź kollje bry-  
lantowe....

H E L E N A.

Jeszcze brylanty! oh! będę ubrana jak Księżna.... (znowu siada przed zwierciadłem, wchodzi dwóch lokai w bogatej liberji, niosąc przepyszny koszyk, który stawiają na stole, Walpool im towarzyszy)

## SCENA VII.

POPZEDZAJĄCY, WALPOOL.

W A L P O O L.

Lord Bedford, przesyła mi tedy ten list.

LADY WINDSOR. (z żywością)

Dawaj! (otwiera go prędko i czyta cicho)

WALPOOL. (spogląda na Helenę, potem na koszyk, n. s.)

Już wiem dla kogo...

LADY WINDSOR. (czytając)

Dobrze!.. tego wieczora.... jaki pośpiech... Ah... *postscriptum*. (czytając głośno) »Widziałem tego młodego człowieka. Dudley przedstawi ci go tego rana.... jak największa ostrożność...« Niezapomniemy o tem..... (chowa list)

WALPOOL. (podając papier lady Windsor)

Milady rachunek zapłacony.

LADY WINDSOR. (*przejrzawszy go, z uśmiechem*)

Brylanty!... 5000 funtów szterlingów!... Lecz  
jakiż pozór?... Podarunki ślubne....

HELENA. (*przeglądając się*)

Myszę, że już koniec....

LADY WINDSOR. (*do służących*)

Jack, odprowadź sir Walpool. (*patrząc na  
Helenę*) Heleno, jesteś prześliczną. (*wychodzą  
wszyscy, prócz lady Windsor i Heleny*)

## SCENA VIII.

LADY WINDSOR, HELENA.

LADY WINDSOR.

Droga Heleno, nadeszła chwila, w której  
mogę unieść zasłonę zakrywającą ci jeszcze  
twoją świetną przyszłość. Przeznaczenie wzy-  
wa cię do łask fortuny, a gdy wiatr pomyślno-  
ści porywa i unosi, często w swoim prze-  
locie umieszcza nas nad wszelkie nasze na-  
dzieje!

HELENA. (*z prostotą*)

Nie rozumiem cię milady.

LADY WINDSOR.

Wierzę temu. Otwórz ten koszyk, otwórz  
także pudełko, które się w nim znajduje.



HELENA.

Ah! jak piękne brylanty!... jak się świecą... blask ich razi oczy... Czy to twoje milady? oh! jak ci w nich będzie dobrze! czy się w nie ubierzesz tego wieczora?

LADY WINDSOR.

Heleno, one twoją będą ozdobą.

HELENA.

Moją!.... żartujesz milady!

LADY WINDSOR.

Wszystko co jest w tém pudełku, i w tym koszyku, do ciebie należy.

HELENA.

Co mówisz milady?.... Wiesz, że jestem ubogą, chcesz doświadczać czy zalotność?... Oh wiem dobrze milady, że takie brylanty nie dla mnie.

LADY WINDSOR. (*wstając*)

Droga Heleno, wiesz dopiero połowę twojego przeznaczenia. Jesteś ubogą, prawda; ale jesteś piękna, a dar podobania się jest także skarbem. Ukryta aż do dziś dnia, w murach prawie klasztornych, nie wiedziałaś sama o tym skarbie; dopiero na wielkim świecie ukazuje się jego blask, oceniają go, i widzisz, oto początek zadziwiających jego działań.

HELENA.

Jakto Milady? być piękną, jest szczęściem, bogactwem?...

LADY. (*spoglądając na brylanty*)

Więcej nawet, kiedy wiedzą o tém?

HELENA. (*lekko*)

A ja, czy jestem dosyć pię...  
LADY.

Tak i dla tego trzeba iść za męż.

HELENA.

Iść za męż?...

LADY WINDSOR.

Oto są twoje podarunki ślubne.

HELENA.

Ślubne?

LADY WINDSOR.

Zdziwienie bardzo przyjemne, nieprawdaż?..

Dziś połączą cię związkiem małżeńskim.

HELENA.

(Oh Boże! Milady, dziś mówisz! To zaprędko!...

LADY WINDSOR.

Heleno, w twoim wieku szczęście zwykle prędko przychodzi. (*gdy Lady Windsor mówi, Helena otwiera pudełko i przypatruje się brylantom*) Jednak dla tego nie trzeba niem

pogardzać. Słuchaj mię, chcąc się ukazać korzystnie na wielkim świecie, trzeba mieć nazwisko, znaczenie; a młoda panna szczególnie na wielkim świecie nic prawie nie znaczy. Małżeństwo nadaje prawa i wolność. To właśnie jest szczęściem. (*pokazując na brylanty*) Piękniejszych brylantów nie mają udworu.

HELENA.

Wierzę ci Milady; ale dziś!...ten wyraz mię przestrasza; pierwszy raz słyszę o mężu, o małżeństwie... i to mię czyni cokolwiek niespokojną.

LADY WINDSOR.

Dziecię jesteś! Czy chcesz przymierzyć te kollje?

HELENA.

Jeszcze nie. Iść za mąż!...ja! przed wszystkimi moimi towarzyszkami tak bogatemi, które na mnie złością spoglądały, które nie raz nawet z ucinkiem mówiły: „Helena nie pójdzie za mąż.“ Oh! to byłby tryumf.

LADY WINDSOR.

Nie prawdaz!

HELENA.

Tak! ale ten mąż, tego się obawiam. Nie

znam go... (*uśmiechając się*) gdyby był (*bardzo poważnie*) może on stary?

LADY WINDSOR.

Przeciwnie, szlachcie, uprzejmy, miły i będzie pułkownikiem.

HELENA.

Pułkownikiem!.. piękny ubiór!.. To mię cokolwiek uspokaja,..ale gdybym mu się nie podobała...

LADY WINDSOR.

Jeżeli cię zaślubia..

HELENA.

Oh! zaślubia; ale ja chcę żeby mię naprzód kochał.

LADY. (*z małym poruszeniem gniewu*)

Będzie cię kochał; tu idzie o wydanie cię za mąż, to jest wszystko. — Musisz się pozbyć twoich myśli na pensji nabytych, na wielkim świecie ludzie inaczej myślą. Pozwól mi działać; spokojnie oczekuj chwili kiedy ci będę mogła przedstawić twojego narzeczonego; przybędzie za chwilę...

HELENA. (*przełęta*)

Milady...

↵

L A D Y W I N D S O R.  
Milczenie.

JAMES. (*anonsując*)  
Margrabia Dudley i...

L A D Y W I N D S O R.  
Niech wejdą. (*James wychodzi, do Heleny*)  
To on.

H E L E N A.  
Mąż!..

L A D Y.  
I cóż?

H E L E N A.  
Oh moja matko, proszę cię, pozwól mi odejść; nie śmiałybym patrzeć na niego; powiedziałaś mi że to będzie mój mąż.

L A D Y W I N D S O R.  
Dla tego właśnie trzeba być spokojną...  
No, moja Heleno, cokolwiek chęci podoba się, przyjmij go grzecznie.

H E L E N A.  
Ah Milady! (*Lady dawszy znak Helenie aby się zachowała przyzwoicie, idzie w głąb sceny. Helena obraca się do zwierciadła i ogląda sama siebie*) Mąż! (*Dudlej i Tom Love wchodzi, James wprowadziwszy ich oddała się*)

## SCENA IX.

HELENA, LADY WIDNSOR, TOM LOVE,  
DUDLEJ.

D U D L E J.

Milady, Lord Bedford raczył mi pozwolić,  
złożyć ci moje uszanowanie, i przedstawić pro-  
tegowanego przez siebie szlachcica Szkockie-  
go Sir Love.

HELENA. (*d. s.*)

Love! ładne nazwisko.

L A D Y W I N D S O R.

Zbliż się Sir Love, pragnęłam cię poznać.

LOVE. (*n. s.*)

To ona!

HELENA. (*n. s.*)

Widziałam go!

DUDLEJ. (*cicho do Lady*)

Proszę przyspieszyć poznanie...

LOVE. (*d. s.*)

Czarująca!

HELENA. (*d. s.*)

Ah jak przyjemny!

L A D Y W I N D S O R.

Doniesiono mi o odwiedzinach twoich.



L O V E.

Milady... zadziwiająca łaska, niepojęte szczęście...

HELENA. (*d. s.*)

Spojrzał na mnie.

L O V E.

Tak mieszają mój rozum i serce, że nie jestem w stanie wyrazić...lecz Milady łatwo to zrozumie.

LADY WINDSOR. (*do Margrabiego*)  
Przyjemniejszy niżelim sobie życzyła.

DUDLEJ. (*cicho do Lady*)

Wyjedzie dziś wieczór.

HELENA. (*d. s.*)

Czy będzie mówił ze mną?

L A D Y.

Sir Love, wiem o zamiarach Lorda Bedford względem ciebie, i jego życzenia są dla nas rozkazem.

L O V E.

Mógłbym mieć nadzieję...(*wstrzymuje się gdy Lady Windsor bierze za rękę Helenę*)

DUDLEJ. (*cicho do Lova*)

Widzisz, niewierny..,

L A D Y.

Miss Heleno de Roselinde, przedstawiam  
ci sir Love-Mac-Fild.

L O R D.

Miss...

LADY WINDSOR. *(przerywając natychmiast)*

Będziemy mieli zaszczyt widzieć się z pa-  
nem jeszcze raz za jego powrotem od lorda  
Bedford. Twój los godny zazdrości, dziś od-  
bierzesz patent na pułkownika i rękę Heleny.  
*(Helena spogląda na Love)*

LOVE. *(mocno wzruszony)*

Jakie spojrzenie!

D U D L E J.

Niema ani chwili czasu do stracenia.

LADY WINDSOR. *(do Heleny)*

Drogie dziecię, bal dzisiejszy... oczekują  
twoich rozkazów; nie zatrzymuję cię dłużej,  
możesz nas zostawić.

L O V E.

Już! *(Helena z wielką nieśmiałością żegna  
Lova, który chce jej podać rękę, lecz Dudley  
go uprzedza i odprowadza Helenę do drzwi,  
ta już przy wyjściu spogląda jeszcze na  
Lova, który także ciągle na nią patrzy)*

## S C E N A X.

DUDLEJ, LADY WINDSOR, TOM LOVE.

LOVE. (*gdy Helena odeszła, mówi do siebie*)

Moje zadziwienie podwaja się... co przedsięwziąć?... nie przemówiła do mnie ani jednego słowa, ale jej spojrzenie...

(*Lady Windsor i Dudlej zbliżają się z głębi*)

DUDLEJ. (*do lady Windsor*)

Jak wzruszony... *a propos*, oto miniatura.

LADY WINDSOR.

Dla czegoż to?

DUDLEJ.

Żądają kopji.

LADY WINDSOR.

Ah... rozumiem; kazałam uwiadomić Morthona, jemu ją oddasz.

DUDLEJ.

Czekam cię sir Love, twoje życzenia są wysłuchane.

LOVE.

Milady, mamże w istocie opuścić cię tak prędko?

LADY WINDSOR.

Takie są rozkazy lorda Bedford.

LOVE. (*n. s.*)

To tajemnica!...

JACK. (*wchodzi z listem*)

Posłaniec dworu.

LADY WINDSOR. (*spiesznie*)

Zobaczemy.

D U D L E J.

Nie niepomyślnego?

L A D Y.

Powinności etykiety; godzina stracona.

LOVE. (*d. s.*)

Godzina! gdybym mógł...

L A D Y.

Niech powóz zajedzie. (*Jack wychodzi*)

L O V E.

Milady wyjeżdża?

L A D Y W I N D S O R.

Tak. Jadę do Westminster, margrabio, racz mi towarzyszyć do pałacu. Sir Love, za twoim powrotem już intercyza ślubna będzie gotowa. Spiesz się.

L O V E.

Milady, moje postanowienie jest niewzruszone. (*lady Windsor bierze wachlarz*)

D U D L E J. (*cicho do Lova*)

Spiesz do lorda Bedford.

L O V E.

Nie stracę ani chwili. (*n. s.*) Jakiego tu użyć sposobu?

L A D Y W I N D S O R.

Proszę mię odprowadzić do powozu, mam nadzieję, że za moim powrotem...

L O V E.

Możesz być pewną milady. (n. s.) nie wyjdę ztąd.

L A D Y W I N D S O R.

Idźmy, Dudlej. (do służącego) Idź do mojego notariusza, powiedz mu, żeby tu przyszedł, za godzinę będę z powrotem.

L O V E. (n. s.)

Wybornie, będę mógł wrócić.

L A D Y W I N D S O R. (wychodząc)

Idźmy. (wychodzą)

## S C E N A XI.

J A C K. (sam)

Otóż tak, jeszcze do notariusza! to już dziś czwarty raz! idź! biegaj!... Nawet się niezapytają czyś utrudzony. (odchodzi, słychać odjeżdżający powóz)

## S C E N A XH.

L O V E. (sam)

Odjechali... ja zostaję! Teraz mój los musi się wyjaśnić... Godzinę, całą godzinę mam

wolną! Jak zbliżyć się do mojej pięknej nieznajomej? Nie znam tego domu! Tędy wyszła... nie śmiałbym nigdy... a jednakże... Nie wyjdę ztąd dopóki nie poznam tego niepojętego wypadku. (*idąc do drzwi bocznych*) Słyszę mówiące kobiety... ale nie znam jej głosu...

JEDNA Z PANIEN. (*za sceną*)

Tak miss Heleno, milady tylko co wyjechała.

HELENA. (*za sceną*)

Zaczekam na nią w salonie.

L O V E.

Tu idzie!.. O nieba! zastońcie przedemną wszystko, co widok mojego szczęścia zaćmić może. (*oddala się w głąb, Helena wchodzi zamysłona, zbliża się zwolna naprzód sceny i siada*)

### SCENA XIII.

HELENA, TOM LOVE.

LOVE. (*d. s.*)

Ah jak piękna!..

HELENA. (*nie widząc Lova*)

Widziałam go... to on będzie... Ah od tej chwili tak jestem zmieszana... nie wiem już



co czynię... czuję radość... a chciałabym płakać.

LOVE. (*d. s.*)

Radbym słyszeć...

HELENA. (*wstaje, zbliża się do zwierciadła, poprawia bukiet i ubranie na głowie*)

Czyliżem mu się podobała? byłam w takiej obawie... może mu się wydałam niezgrabną...

LOVE. (*przy krześle*)

Nie, miss, zachwycającą.

H E L E N A.

Ah! (*poznawszy Lova, z przestrawieniem*) On!  
(*ciszéj, z uśmiechem, który stara się wstrzymać*) On!..

L O V E.

Błagam cię miss, przebacz mojej śmiałości, najgłębsze uszanowanie jej towarzyszy; ale chętniebym życiem mojem okupił, tę chwilę rozmowy. Cały mój los od niej zawisł. Czy pozwolisz mi pomówić z sobą?

H E L E N A.

Ja, nie wiem... tak... nie... Milady czy wie o tem?

L O V E.

Słyszałaś pani przyrzeczenie, które milady uczynić mi raczyła? Przeznaczają nas jedno

dla drugiego, nie dawszy nawet czasu do poznania się. Pani, powiedz mi, czy i twoją ręką rozrządzają podług woli?

HELENA. (*n. s.*)

Co mu odpowiedzieć? (*głośno*) Tak jest... ale...

L O V E.

Cóż pani?..

H E L E N A.

Dziś rano, pierwszy raz...

L O V E.

Dokończ...

HELENA. (*patrzac na niego*)

Może źle czynię?

L O V E. *h*

Oh nieobawiaj się... mów dalej... dziś rano pierwszy raz?..

H E L E N A.

Mówiono mi o panu.

L O V E.

I mnie dziś pierwszy raz wspomniano o tobie pani.

H E L E N A.

Czy podobna!..

L O V E.

Pojmujesz więc pani moje zadziwienie

HELENA. (z uśnością)

A moje, obawiałam się.

L O V E.

Obawiałaś się? a teraz?..

(Helena bardzo zmieszana spuszcza oczy)

LOVE. (d. s.)

Jaka słodycz, szczerłość! tracę głowę... podejrzenia!.. nie, niepodobna!.. jednakże... (głośno) Heleno!.. miss...

H E L E N A.

Sir Love.

L O V E.

Pouieważ nie radząc się nas, nieznanym sobie, tak zbliżono, że dziś jeszcze ślubnym węzłem mamy być połączeni; czyliby nie dobrze było miss, abyśmy oboje poznali skrytości serc naszych i czytać w nich mogli? Każda tajemnica uczyniłaby nas występniemi... Czy takie jest i twoje zdanie miss?

H E L E N A.

Bez wątpienia.

L O V E.

A więc, ja pierwszy dam ci przykład zaufania. Jeżeli dla otrzymania twojego przyzwolenia, skreślono mię w twoich oczach pod świe-

tnemi kolorami, któreby mogły pochlebiać ambicji, honor nakazuje mi wyprowadzić cię z błędu. Jestem szlachcicem, oto całe moje mienie, skąpy los nie udarował mię dostatkami fortuny. Biednego sierotę wynoszą do stopnia pułkownika, i zaszczycają połączeniem się z tobą. Miss Heleno oddają mi twoją rękę, ten skarb będzie droższym dla mnie nad wszystko, jeżeli i miłość twoją zdołam pozyskać. Czy powiedziano ci to pani?

H E L E N A.

Nic nie wiedziałam, mówiono mi o małżeństwie, o bogactwach, sądziłam że to marzenie, bo i ja jestem biedną sierotą.

LOVE. (*biorąc ją pierwszy raz za rękę*)

Ty Heleno! ty także jesteś sierotą?

H E L E N A.

Mój ojciec zginął na polu bitwy.

L O V E.

Twój ojciec... a...

H E L E N A.

Nieznałam mojej matki; wychowana z litości, winnam wszystko...

L O V E.

Milady Windsor?...

HELENA. (*wahając się nieco w odpowiedzi*)  
Nie...

LOVE. (*z obawą*)

Lordowi Bedford.

HELENA.

Nie znam go wcale.

LOVE.

Nie znasz go?.. a przecież byłaś wychowaną  
w tym wspaniałym pałacu?

HELENA.

Nie!

LOVE.

Gdzież tedy?

HELENA.

Niebo dało mi inną matkę w przełożonej  
nad pensją w Tunnington, w której umiesz-  
czono mię jako szlachetnego rodu biedną  
sierotę. Moja dobra, wspaniała opiekunka przy-  
znała mię za swoją córkę, i kochała więcej nad  
wszystkie moje towarzyszki. Nazywam ją moją  
matką, będzie nią wiecznie; nasze serca nie  
mogą się zapomnieć; w jakimkolwiek była-  
bym znaczeniu, szczęściu i dostatkach, będę  
zawsze córką lady Worcester.

LOVE.

Łady Worcester?..

HELENA.

Tak jest.

LOVE.

Z Tonninthon?

HELENA. (*z radością*)

Czy znasz ją?

LOVE.

Jest to krewna mojego najlepszego przyjaciela! najcenniejsza z kobiet.

HELENA.

O tak! to ona! to ona!

LOVE.

Przez nią byłeś wychowaną?

HELENA.

Od dzieciństwa.

LOVE.

Opuściłaś ją więc...

HELENA.

Wczoraj dopiero.

LOVE.

I aż do tej chwili...

HELENA.

Dni moje pędziłam pod jej okiem.

LOVE. (*klękając*)

Heleno! jesteś więc tak niewinną i czystą jak światło dzienne. Oh! nie odrzucaj hołdu, który teraz u nóg twoich składam! Pomrok,



ktory cię otaczał, znikł na wzmiankę nazwiska lady Worcester; teraz dopiero ośmielałam się wpatrywać w te czarowne rysy, w to spojrzenie jaśniejące niewinnością i szczerotą! Heleno! oh jakże cię kocham!

HELENA.

Boże!

LOVE.

Już nie żądam od losu wyjaśnienia mojego szczęścia!.. Patrzę na ciebie, wierzę w niego, upaja mię radością... drżałem... Teraz przysięgam przed Bogiem, na pamięć twojego ojca i mojego, że cię wielbić będę całe życie. A ty?..

HELENA, *(w największem pomieszaniu)*

Tak!

LOVE. *(powstając)*

Ah! żadna potęga niezdoła mię zniewolić do wyrzeczenia się ciebie. *(całując jej rękę kilkakrotnie)* Heleno!.. ty moją małżonką! biegnę zasłużyć na twoją rękę, i przyniosę drogi tytuł, który mię wznosi aż do ciebie. Mam twój przysięgę Heleno...do zgonu! *(wybiega, Helena chwytając się prawie, siada na krześle przed zwierciadłem)*

## SCENA XIV.

HELENA, sama, później JAMES i LADY WOR-  
CESTER. *(po chwili milczenia)*

Oh! drzę cała! już go tu nie ma. Usłysza-  
łam wyznanie miłości... Tak... miłość! Rzecz  
dziwna, jak się to prędko zakochać można!  
„Do zgonu!“ powiedział. O tak Love, do o-  
statnich chwil życia! Już teraz bez obawy pój-  
dę za mąż, kiedy tylko zechce moja matka  
chrzestna! *(zamyślona)* Cóż uczyniłam? od-  
dałam serce, przyrzekłam moją rękę, bez po-  
zwolenia matki, bez jej porady! Dla niego tak  
się pośpieszyłam! ale nie pójdę za mąż do-  
póki ona... o nie... i muszę jej wyjawić wszyst-  
ko czego doznaję! Napiszę do niej, pewna  
jestem, że przyjedzie do mnie natychmiast,  
Jakże się zadziwi!.. Mawiała mi zawsze : że  
wielki świat nie godzien zaufania, przedsta-  
wiała mi go w przerażającym obrazie. Za-  
ledwie weszłam w jego zakres, wszystko się do  
mnie uśmiecha, wszystko wyprzedza moje ży-  
czenia.. Już mam męża! Oh świat jest lepszy  
niżeli o nim mówią!.. *(idzie pisać)*

J A M E S.

Jakaś dama pragnie z panią mówić...

H E L E N A.

Ze mną? Czy powiedziała jak się nazywa?

J A M E S.

Lady Worcester!

HELENA. (*rzuca pióro i biegnie na spotkanie Lady*)

Moja matka! oh, co za szczęście! gdzież ona jest?

LADY WORCESTER. (*wchodzi*)

W twoich objęciach.

H E L E N A.

Ah, nasze serca zgadywały się. (*ściskają się, James odchodzi*)

## SCENA XV.

LADY WORCESTER, HELENA.

LADY WORCESTER. (*patrzac na Helenę*)

Co za ubiór!..Jaka świetność!..Brylanty na tobie moje dziecię?

H E L E N A.

Widzisz matko jak jestem szczęśliwa! miałam pisać do ciebie...

LADY WORCESTER.

Miałaś pisać?

H E L E N A.

Z prośbą abys przyszła do mnie dzisiaj, natychmiast; moje serce pragnęło z tobą radość podzielić.

L A D Y W O R C E S T E R.

A ja bylam tak niespokojną!..Opowiedz mi powód twojej radości.

H E L E N A.

Oh mamó, mam ci tyle rzeczy powiedzieć że nie wiem od czego zacząć. Idę za męża.

L A D Y W O R C E S T E R.

Mówiono mi.

H E L E N A.

Będę bogatą..zaślubiam pułkownika; będę należeć do wielkiego świata.

L A D Y W O R C E S T E R.

Ty Heleno do wielkiego świata?

H E L E N A.

Tak mamó, moja matka chrzestna mi to powiedziała, ona mię wprowadzi...ale jak będę zamężną, ponieważ wprzód trzeba mieć imię...znaczenie...

L A D Y W O R C E S T E R.

Co mówisz moje dziecię! zadziwiasz mię.

H E L E N A.

Bardzo wierzę...przyglądasz mi się.. To nic jeszcze co widzisz, to są tylko brylan-

ty mojej matki chrzestnej. Ale wkrótce będę miała moje...Już mam...zaczekaj (*bierze pudelko ze stolika*) Patrz, patrz mammo...to w wszystko...

L A D Y W O R C E S T E R.

Brylanty! czyje?

H E L E N A.

Moje...

L A D Y W O R C E S T E R.

Twoje!..ktoż ci je dał?

H E L E N A.

Ja nie wiem...Ah...tak...protektor mojego męża...Podarunek ślubny.

L A D Y W O R C E S T E R. (*chwytając ją za rękę*)

Heleno...moja córko...trwogą mię przejmujesz...

H E L E N A.

Dla czego?

L A D Y W O R C E S T E R.

W obłąd prowadzą twój umysł, mieszają rozum, chcą podchwycić twoje serce. A ty bez przewodnika, bez doświadczenia, wierzysz w szczerść tych którzy cię otaczają.

H E L E N A.

Dla czegożby mię zwodzić chcieli?

L A D Y W O R C E S T E R.

Moje dziecię te uciechy, ta próżna okaza-

łość, ten czczy blask który cię zajmuje, zda-  
je się uszczęśliwić, ukrywa niebezpieczeństwa!  
Nie rozumiesz mię?

HELENA.

Nie moja matko. (*kładzie pudełko na stole*)

LADY WORCESTER.

Widziałaś mię często płaczącą nad losem  
jednej z moich uczennic, której nazwisko na-  
wet wspominać zabroniłam... Była również jak  
ty piękną, niewinną... ale... zalotną. Nierozwa-  
żni opiekunowie jak ciebie tak i ją wydarli  
z mojego łona chcąc aby jaśniała na wielkim  
świecie; ukazała się na nim w całym blasku...  
ale jakże ten blask trwał krótko... Jeden z tych  
dworaków którzy cię już otaczają swojemi nie-  
bezpiecznemi hołdami, znalazł ją godną swo-  
jej miłości, ale nie związku ślubnego... Droga  
wiodąca do zguby zasłaną była kwiatami ta-  
kiemi jak te które ciebie ozdabiają... a zale-  
dwie ją przestąpiła został jej tylko wybór  
między hańbą i śmiercią.

HELENA. (*z mocą, chwytając rękę Lady Worcester*)

I umarła, nie prawdaż!..



LADY WORCESTER. (*przyciskając Helenę do serca*)

Zaspokajasz mię jeszcze! (*James otwiera drzwi w głębi, wchodzi, Lady Windsor i Dudley*)

## SCENA XVI.

LADY WORCESTER, HELENA, LADY WINDSOR,  
DUDLEJ.

LADY WINDSOR. (*widząc Helenę w objęciach Lady Worcester.*)

Co widzę?..pomimo mojego zakazu.

D U D L E J.

Nieprzyjaciel zajął stanowisko, ja oddalam się.

L A D Y W I N D S O R.

Zostań.

HELENA. (*usłyszawszy głos Lady Windsor odwraca się z radością*)

Ah otóż Milady..(*biegnie na przeciw niéj*)  
Ah Milady, jakżem szczęśliwa że przybyłaś właśnie w tej chwili. Rozproszysz niepokój mojej matki i opiszesz szczęście które mię spotyka. Czyliż nie mam zostać żoną Szla-

chcica Szkockiego, który mię kocha, oh tego jestem pewna, wszakże mię nikt nie zwodzi, prawda milady?

L A D Y W I N D S O R.

Ileż pytań! zkad ta obawa!.. czy ty milady zapełniasz jej umysł temi niedorzecznościami?..

H E L E N A.

Matka moja pizez przywiązanie do córki...

L A D Y W I N D S O R.

Biorę na siebie zaspokojenie lady Worcester, względem losu jej uczennicy, powierz to mojemu staraniu. Zostaw nas Heleno.

HELENA. *(do lady Worcester)*

Byłam pewną..

L A D Y W I N D S O R.

Zostaw nas... *(widząc otwarte pudelko na stole)* Weźże z sobą to pudelko. *(Helena spogląda na lady Worcester, widząc że milczy, bierze pudelko i mając już wyjść, spojrzeniem radzi się jeszcze lady Worcester)*

HELENA. *(trzymając pudelko, do lady Worcester)*

Cóż mam z nim uczynić milady?

L A D Y W I N D S O R. *(z lekką niecierpliwością)*

Co ci się podobać będzie. Zajmij się przygotowaniem na bal dzisiejszego wieczora.

L A D Y W O R C E S T E R.

Heleno, nie powinnaś ubierać się w te brylanty, nieprzystoją twojemu wiekowi, i stan twój przewyższają.

L A D Y W I N D S O R.

W moim domu!.. *(zatrzymuje się, spogląda na Helenę, która kładzie pudelko na stół)* Pozwalam ci..

H E L E N A.

Przebacz milady... ale nie mogę być nieposłuszną tej, która od lat dziecinnych kierowała mojemu kroki, nie mogę być nieposłuszną matce; jej chęci były zawsze dla mnie rozkazem.

LADY WINDSOR, *(daje jej znak, aby wyszła)*

HELENA. *(wychodząc, do lady Worcester)*

Widzisz matko.

## S C E N A XVII.

LADY WINDSOR, LADY WORCESTER, DUDLEJ.

L A D Y W I N D S O R.

Jakiem prawem lady Worcester ośmiela się w moim domu używać prawa nauczycielki, naganiać to, co ja za dobre uważam, zabraniać tego, na co ja pozwalam.

L A D Y W O R C E S T E R.

To prawo milady nadaje mi mój obowiązek. Przez dziesięć lat zastępowałam Helenie miejsce matki, ty zaledwie ją znasz milady, to jest moja uczennica, ja ukształciłam jej serce. Dopiero od wczoraj znajduje się u ciebie, a już chcesz zniszczyć dzieło tyloletnich prac moich. Moja uczennica jeszcze do mnie należy.

L A D Y W I N D S O R.

Zapominasz się milady...

L A D Y W O R C E S T E R.

Ty raczej milady! zbaczasz z drogi rozsądku, jeżeli o inne błędy posądzić cię nie mogę. To niewinne dziecię, które w obłęd wprowadzają, samo uwiadomiło mnie o wszystkim. Kiedy nie możemy wyjaśnić naszych czynności, nie mogą być dobre. Małżeństwo tak prędko kojarzące się, nie małą budzi we mnie obawę. Zkąd ten małżonek? czyli zna przynajmniej Helenę?.. Czy ty milady wyposażasz ją?.. A te dary, których wartość sama jest zniewagą; te brylanty, które rumienić mi się każą, kto składa je w ofierze? Ty sama na-

koniec milady, powiedz, co zamysłasz uczynić z moją wychowanką?

D U D L E J.

Zkądże to prawo żądania od milady rachunku z jej czynności?

L A D Y W O R C E S T E R.

Czyliżes pan nie słyszał, że Helena matką mnie swoją nazywa! Milady, czy nie otrzymam odpowiedzi?

DUDLEJ. *(który przeszedł do lady Worcester)*

Oddał milady tę kobietę.

L A D Y W I N D S O R.

Ab to jest nazbyt nadużywać mojej cierpliwości!.. Mogłabym jedném słowem zakończyć to nierozsądne badanie. Dozycby było powiedzieć, że mi się nie podoba. Ale chcę jeszcze raz przypomnieć lady Worcester, że jej opieka nad moją córką chrześną, była sownie zapłacona, że moja wychowanka już nie potrzebuje ani nauczycielki, ani litości, że używam praw opiekunki i że z tego tytułu Helena do mnie należy.

L A D Y W O R C E S T E R.

Tak, do ciebie należy milady!.. ale dla tego, abys się nią opiekowała, nie zaś dla tego aby....

LADY WINDSOR. *(rzucając groźne wejrzenie,  
po chwili milczenia)*

Dosyć! oddał się!.. Margrabio, przywołaj  
moich ludzi!

D U D L E J.

Uspokój się pani!

L A D Y W O R C E S T E R.

Twój gniew dokonał wyjaśnienia... Miałam  
tylko podejrzenie, teraz widzę jawnie. I ja je-  
dnego tylko potrzebuję słowa, aby ci odebrać  
moją córkę, i wyrwać ją z przepaści. Katarzy-  
na z Aragonji jest jeszcze na tronie, wezwę  
jej pomocy...

*(Lady Windsor czyni poruszenie razem gniew-  
ne i przestachu.)*

D U D L E J.

Milady!

L A D Y W O R C E S T E R.

Uczynię to, jeżeli mi nie oddasz mojego  
dziecięcia! Jeżeli bez niej opuszczę te progi,  
jutro, dziś wieczór może, przyjdę upomnieć  
się o nią w imię Królowej Anglji.

L A D Y W I N D S O R.

Niech się oddali ta kobieta, albo ją wypę-  
dzić każę.



LADY WORCESTER.

Idę więc rzucić się do nóg Królowej. (*wychodzi*)

## SCENA XVIII.

LADY WINDSOR, DUDLEJ.

LADY WINDSOR. (*siedząc*)

Drzę z gniewu!

DUDLEJ.

Nie lękaj się milady, przytomność umysłu odwróci te burzę.

LADY WINDSOR.

Groźby!.. gardzę niemi.

DUDLEJ.

Czy ślub może się odbyć za godzinę?

LADY WINDSOR.

Natychmiast!.. Rozkaz Królowej za późno przybędzie... zadzwoni na moich ludzi. (*Dudlej dzwoni*) Akt ślubny już napisany (*Jack i James wchodzi*)

LADY WINDSOR.

Zaczekajcie!.. (*idzie do biurka i pisze kilka słów, mówiąc*) Trzeba wszystko przewidzieć i wszystko od razu dokonać. James przywołaj służące (*James wychodzi, Lady pisząc*) Margrabio, czy widziałeś młodego malarza?

D U D L E J.

Ma wkrótce nadęść.

LADY WINDSOR. (*wstaje i dając bilecik Jackowi*)

Spiesz do mego notariusza, niech przyjdzie natychmiast i niech mię uwiadomią o jego przybyciu. (*dwie służące weszły*)

J A C K.

Dobrze Milady. (*wychodzi, Jams wchodzi*)

L A D Y W I N D S O R.

Tom Love tak długo bawi.

D U D L E J.

Przyjdzie niezawodnie; lecz należałoby pomyśleć o Lady Worcester.

L A D Y W I N D S O R.

Pamiętam o tem. (*do służących*) Czy przyniesiono suknie dla panny młodej?

JEDNA Z SŁUŻĄCYCH.

Przyniesiono, Milady.

L A D Y W I N D S O R.

Weźcie te brylanty, ten koszyk, i powiedzcie Miss Helenie, aby się z wami udała do mojej gotowalni. Przyjdę tam za chwilę. Jams kaź otworzyć salony. Niech wszystko oświecone będzie do balu... (*Jams wychodzi wraz z służącemi które zabrał koszyk i brylanty*)

Lady Worcester pójdzie do Królowej...za  
późno...przecież...

D U D L E J.

Gdyby jej można zupełnie przeszkodzić.

L A D Y W I N D S O R.

Spiesz do Lorda Bedford, on swoim wpływem z łatwością ten cios odeprze, niechaj postara się u Ministra o rozkaz wyjazdu.

D U D L E J.

Rozumiem. Spieszę. (*Lady Windsor wychodzi*)

## S C E N A XIX.

D U D L E J i M O R T H O N.

M O R T H O N.

Co widzę! Margrabia Dudley.

D U D L E J.

Witam pierwszego malarza Londynu! Wsamczas przychodzisz mój kochany Rafaclu, byłbym zapomniał.

M O R T H O N.

Mniemałem, że tu zastanę Milady.

D U D L E J.

W tej chwili jest przy toalecie. Będiesz na balu. Potrzebujemy kopji tej miniatury. (*oddaje mu miniaturę*)

M O R T H O N.

I pan wiesz także... (*śmiejąc się*) A więc moje domysły sprawdzają się; kiedy Margrabia przypuszczony do tajemnicy, pewny jestem...

D U D L E J.

Milczenie... Domyślać się możesz, ale... (*z powagą*) Daj mi słowo, że będziesz niemym w tym względzie... (*uśmiechając się*) Przynajmniej 24 godzin.

M O R T H O N.

Masz je Margrabio.

D U D L E J.

Do widzenia... interes mię wzywa, zobaczymy się tutaj. (*wychodzi*)

## SCENA XX.

MORTHON. (*sam*)

Niezawodnie jakaś intryga... rzecz jasna... nie dziwi mię to wcale, ale co mię zdumiewa, to bilet Tom Lova. (*czyta*) „Przyjacielu, „pragnę jak najprędzej uwiadomić cię o mo- „jém szczęściu, podobne jest do marzenia. „Przybądź dziś w wieczór do Margrabiny Wind- „sor, tam się zobaczymy i dowiesz się o wszy-

stkiem...“ Tom Love tutaj!...Wczoraj nie znał Margrabiny...czyliżby i on należał do intrygi? Oh nie! jego sposób myślenia, jego szczerść, szlachetność serca...nie, to niepodobna!

JAMES. (*annonsując*)

Sir Love. (*Love ukazuje się w mundurze pułkownika*)

## SCENA XXI.

TOM LOVE, MORTON, później JACK.

M O R T H O N.

Ah! Tom Love!

L O V E.

Morthon!

M O R T H O N.

Odebrawszy twój list, czekałem na ciebie... Ale co widzę?

LOVE. (*do służącego*)

Donieś o moim powrocie Milady.. Kochany Morthonie...Tak, jestem pułkownikiem, patrz, oto mój patent ...i upewniam cię że niemniej jestem zdziwiony pokazując ci go, jak ty widząc go w moich rękach.

M O R T H O N.

Pułkownikiem, w jednym dniu!..

L O V E.

To co mię spotyka miesza mój rozum! tyle szczęścia przestrasza mię! nie tylko bowiem stopień otrzymałem...

M O R T H O N.

Jakto? może cię miljonowym czynią?

L O V E.

Więcej jeszcze... To co mi dają przenoszę nad wszystkie skarby; żona zachwycająca...

M O R T H O N.

I żonę!

L O V E.

Anioł dobroci, słodyczy!

M O R T H O N.

I masz ją tu zaślubić?

L O V E.

Za chwilę, wtwojej obecności.

M O R T H O N.

Tu! anioł dobroci, słodyczy!..nigdyby mi to przez myśl nie przeszło aby go tu znaleźć można. Love!..badź bacznym!

L O V E.

Przyjacielu, ja również jak ty powątpiewałem; ale widziałem ją, jest to uczennica Lady Worcester.



M O R T H O N.

Mojej ciotki?

L O V E.

Zobaczysz wzór niewinności, będziesz świadkiem mego szczęścia; wszakże prawda, zostaniesz?

M O R T H O N.

Twojego szczęścia? będzie ono mojem.. jeżeli się nie uwodzisz...*(James wchodzi drzwiami z prawej, i w tejże chwili Dudley ukazuje się w głębi)*

## S C E N A XXII.

CIŻ, JAMES, DUDLEJ. *(który zostaje w głębi)*

J A M E S.

Milady Windsor prosi pana Love aby raczył udać się do jej gabinetu.

LOVE. *(do Morthona ściskając go za rękę)*

Morthonie! Przyjacielu, powinszuj mi... Idę podpisać intercyzę ślubną... Widzisz sam, że moje szczęście nie jest snem.

JAMES. *(wskazując drzwi)*

Tu, panie pułkowniku. *(Love wychodzi spiesźnie)*

## S C E N A XXIII.

DUDLEJ, MORTHON, JAMES.

DUDLEJ. (*n. s.*)

Znają się!.. zapomniałem... (*zbliża się prędko*)

MORTHON. (*d. s.*)

Ta miniatura... to małżeństwo...

DUDLEJ. (*do służącego*)

Któż jest u lady Windsor?

J A M E S.

Notariusz i miss Helena. (*odchodzi*)

DUDLEJ. (*n. s.*)

Już ich łączą. (*do Morthona*) Przyjacielu, jesteś młodym artystą; twój majątek teraz od ciebie zależy. Słuchaj: cokolwiek dzieć się będzie w twojej obecności, czegoś się nie spodziewała, coby cię zadziwiła; straż się najmniejszą uczynić wzmiankę względem miniatury, dałaś mi na to słowo, a prócz tego wiesz zapewne o Londyńskiej wieży.

M O R T H O N.

Cóż to?..

D U D L E J.

Nic... milczenie. (*w tej chwili drzwi w głębi otwierają się. Tłum gości, zwolna zapelnia*

*salę. W tymże samym czasie zbliżają się lady Windsor, Tom Love, i Helena w stroju ślubnym)*

## SCENA XXIV.

MORTHON, DUDLEJ, LADY WINDSOR, HELENA, TOM LOVE, GOŚCIE, SŁUŻBA ZAMKOWA, na koniec LADY WORCESTER i OFFICER na służbie będący. *(w końcu ukazuje się lord Bedford)*

*(Lady Windsor prowadzi Helenę i Tom Love, i przedstawia całemu towarzystwu, zapelniającemu głąb sceny. Dudley i Morthon są po prawej na przodzie.)*

D U D L E J.

Otóż i małżonkowie.

M O R T H O N.

Boże! to ona!

D U D L E J.

Jakto?

M O R T H O N.

Oryginał miniatury!

D U D L E J.

Tak jest.

M O R T H O N.

Ona jego żoną!

D U D L E J.

Związek stosowny.

M O R T H O N.

Nikczemna zdrada!

D U D L E J.

Ciszéj!

M O R T H O N.

Nieszczęśliwy Love!

D U D L E J.

Oddaj miniaturę.

M O R T H O N.

Nigdy! pędzel mój nie będzie służył ohyd-  
nym podstępom. (*ciska miniaturę na ziemię  
i niszczy nogą*)

D U D L E J.

Będiesz tego żałował!

(*w tój chwili, lady Worcester wszedłszy z le-  
wej strony, staje przeciw Morthona i Dudleja.  
Lady Windsor postrzegłszy ją, natychmiast  
naprzód się zbliża, Love i Helena są jeszcze  
w głębi*)

LADY WINDSOR, (*z uśmiechem ironicznym i  
z tryumfem*)

Cóż to, milady Worcester raczy zaszczycać  
mój bal swoją obecnością.

L A D Y W O R C E S T E R.

Nieco ciszej milady; obie mamy jeden po-  
wód usunąć zgorszenie. Nie tu jest moje

miejsce; nie przystoi ono również i mojej młodej uczennicy, przyszedłam po nią... oto rozkaz powrócenia natychmiast w moją opiekę Heleny de Roselinde.

*(Love i Helena wychodzą z tłumy, Helena spostrzegłszy lady Worcester, wskazuje ją mężowi. W tej właśnie chwili officer wchodzi i zbliża się do Dudleja)*

LADY WINDSOR. *(odpowiadając lady Worcester zawsze z ironją)*

Rozkaz?

LADY WORCESTER.  
Królowej.

LADY WINDSOR.

Szanuję go... *(śmiejąc się)* Ale... idź o Helenę upomnieć się do jej małżonka.

LADY WORCESTER.

Już połączeni!

HELENA. *(przybiegając do lady Worcester)*

Ah jakżem szczęśliwa, że cię tu widzę! oto mój mąż.

OFFICER. *(zbliżając się do Dudleja)*

Czy tu się znajduje pułkownik Tom Love?

D U D L E J.

Oto jest.

*(Wszyscy słuchają, Lady Worcester trzyma Helenę za rękę, Lady Windsor patrzy na Dudleja, który nie zwraca uwagi z zamysłonego Morthona)*

HELENA. *(do lady Worcester)*

To on!

*(Officer doręcza list z wielką pieczęcią pułkownikowi Love, ten odbiera go zadziwiony, otwiera i przeczytawszy)*

L O V E.

Wielki Boże! Wyjechać!

W S Z Y S C Y.

Wyjechać!

*(Helena rzuca się w objęcie męża)*

O F F I C E R.

Natychmiast.

M O R T H O N.

Love!..

JAMES. *(annonsując)*

Lord Bedford!

*(wszyscy goście cofają się; Love i Morthon spoglądają na siebie przerażeni; lady Worce-*



*ster upada na krzesło, zakrywając twarz, Helena rzuca się do jej nóg. Lord Bedford ukazuje się we drzwiach}*

LADY WORCESTER.

Zgaduję! zginęła!

*(zasłona upada.)*

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

## AKT III.

(Scena przedstawia izbę wiejską. Za po-  
dniesieniem zasłony Betty szyje, Patrick sie-  
dzi fajkę paląc i czyta gazetę, Sottgherl za-  
pala fajkę)

### SCENA I.

PATRICK, SOTTGHERL, BETTY.

SOTTGHERL.

Alc dajże pokój mistriss Sottgherl... już  
czwarty raz przeszkadza mi zapalić fajkę.

BETTY.

Patrzcie, wielkie nieszczęście! piękna rzecz  
przychodzi zapalać fajkę a nie uściskać żony  
będąc tak blisko niej, to się nie godzi.

SOTTGHERL.

Ah! moja żono!..gdybym ciebie słuchał, to-  
bym cię cały dzień musiał tylko ściskać i  
całować, hę, hę, hę.

BETTY.

Poczekaj, będziesz ty mię prosił...

SOTTGHERL. (mając pić)

Wasze zdrowie, mój wuju! Myślę że wy

się nie gniewacie żeście tu zamieszkali sobie w naszym małym gospodarstwie, na drodze do Bristol?.. he, he, he.

PATRICK.

Dla czegoż?

SOTTGHERL.

He, he, słyszysz Betty moja żonko! on się pyta dla czego?

BETTY.

Daj mi pokój.

PATRICK.

No i dla czego?

SOTTGHERL.

Skosztujcie tego piwa? he?

PATRICK. *(napiwszy się)*

I cóż?

SOTTGHERL.

Czy piliście kiedy podobne w waszej karczmie pod jednorożcem? he, he, he.

PATRICK.

Eh, głupis.

SOTTGHERL.

Wasze zdrowie mój wuju!

PATRICK.

Pozwól mi lepiej dokończyć ten dziennik londyński...

B E T T Y.

Trzeba przyznać, że kobiety są bardzo szczęśliwe! zaledwie piętnaście dni jak zostałam żoną tego głupca, a już myśli tylko o kuflu i fajce.

S O T T G H E R L.

Bo to mię lepiej bawi, he, he, he...

B E T T Y.

Leniwiec.

S O T T G H E R L.

Zalotnica!

B E T T Y.

Pijak! szkaradny!

S O T T G H E R L,

Goddem! (podnosi rękę)

B E T T Y. (podnosząc także rękę)

Strzeż się.

S O T T G H E R L.

Przypatrzcie się teraz! z tą miną słodziuchną!..

P A T R I C K.

No, cicho, sza, zgoda!..Soltgherl zawinił; ale tobie Betty radzę, nie sprzeciwiaj się mężowi, bo widzisz jest tu w gazecie artykuł któryby popsuł twoją sprawę.

B E T T Y.

Bah!

S O T T G H E R L.

Coż tam jest takiego? he, he.

P A T R I C K.

Słuchaj, Król Angielski rozwodzi się z żoną a zaślubia Annę de Boulen.

B E T T Y.

Rozwodzić się z żoną.

S O T T G H E R L.

Rozwieść się z żoną! ah! he! he!

B E T T Y.

Nieprawdaż mój Sottgherl...ty jesteś dobry, kochany mąż, ty nie chcesz aby mężowie rozwodzili się z żonami?

S O T T G H E R L.

Nie! nie! rozwodzić się, głupstwo! sprzedać, to co innego; przynajmniej człowiek coś zarobi, he, he. A przytem można sobie wziąć drugą.

B E T T Y.

Jakto sprzedać?

S O T T G H E R L.

Wszakże kochany wuju, tak mówi prawo: „Jeżeli ci żona robi jakie figlasy“...

B E T T Y.

To się ją wybije, i na tem koniec.

S O T T G H E R L.

Tak tak od tego się zaczyna, a jeżeli na nowo swoje powtarza.

B E T T Y.

To się ją znów wybije.

S O T T G H E R L.

Drugi raz...nie zaszkodzi...a potem postronek na szyję i na targ.

B E T T Y.

Ah potwory ci mężowie...Jakto, i ty byś mię sprzedał gdybym...

S O T T G H E R L.

Przedałbym jak cię kocham, gdybyś mię... rozumiesz...psotnico.

B E T T Y.

Czy slyszales mój wuju?

P A T R I C K.

Radzę ci bądź baczna.

B E T T Y.

Fe! to niegodziwie!..Bij swoją żonę, to dobrze, tak się zwyczajnie postępuje, to dowodzi że się ją kocha. Ale nigdy nie trzeba ją porzucać, a gdybyś odważył się kiedy na to i sprzedał mię, a jeszcze jakiemu staremu brzydkiemu, tobym ci oczy wydrapała...uprzedzam cię...



SOTTGHERL. (*śmiejąc się*)

He, he, he!..jakaś ty ładna kiedy się gniewasz. Słuchaj moja Betty.. ja cię kocham .. ale nie bardzo temu ufaj... Dopóki będziesz dobra, miła, łagodna, nadewszystko wierna, będzie nam dobrze...ale jak tylko ślepki...pamiętaj! jestem zazdrośny...gdybym kiedy...coś dostrzegł...albo gdybym się dowiedział...

BETTY. (*śmiejąc się*)

To byś mię wybil?

S O T T G H E R L.

Nie, zaraz na targ.

BETTY. (*n. s.*)

Czekaj przypłacisz mi to (*pukają do drzwi*)

SOTTGHERL. (*dosłyszawszy co mówiła*)  
Co?

P A T R I C K.

Pukają do drzwi.

B E T T Y.

Nie słyszałam.

S O T T G H E R L.

Coś ty mówiła? (*pukają*)

P A T R I C K,

Mówię że pukają. Już późno, traciecie czas na kłótni, i zapewne stróż nocny przychodzi zapowiedzieć aby światło i ogień pogasić.

B E T T Y.

Słuchaj... (*znowu pukają*)

P A T R I C K.

Czy słyszysz teraz?

B E T T Y.-

Ab mój Boże! może będziemy musieli karę zapłacić.

P A T R I C K.

Daj mu szklankę piwa.

S O T T G H E R L.

Tak, tak, idź mu otwórz. (*Betty wychodzi*)  
Trzeba się grzecznie z nim obejść, to się nie będzie gniewał...

B E T T Y. (*wracając*)

Słuchaj Sottgherl... To nie *wachtmann*, to jakiś młody wojskowy, zsiada z konia, zdaje się być mocno utrudzony podróżą.

S O T T G H E R L.

Tak późno, na wielkim trakcie!

P A T R I C K.

Idźże go przyjąć; zapewne ma tłumoczek..

S O T T G H E R L.

Ale mój wuju, bo widzicie... he... he...

P A T R I C K.

Nic dobrego!

B E T T Y.

Ponieważ przystojny młodzieniec!..

*Tom XII.*

11.

S O T T G H E R L.

Jużęś mu się przypatrzyła, choć ciemno...  
młodzieniec... Pani Sottgherl pamiętaj o sprze-  
daży...

P A T R I C K.

Cicho bądź! otóż i on...

(*Tom Love wchodzi, okryty podróżnym płaszczem*)

## SCENA II.

C I Ź i T O M L O V E.

S O T T G H E R L. (*kłaniając mu się po kilka razy*)

Wasza cześć może wejść... Milord nieco  
późno podróż odbywa, he, he, a noc... God-  
dam.

B E T T Y.

Co widzę?

P A T R I C K.

Cóż to?

L O V E.

Poznano mię!

B E T T Y.

Sir Tom Love.

S O T T G H E R L.

Szlachcic Szkocki.

L O V E.

Milczenie!

P A T R I C K.

To mój młody panicz!

L O V E.

Ah moi przyjaciele, poznaję was... Patrick...  
Betty... Jużście się połączyli?

B E T T Y.

O już.

L O V E.

Przypominam sobie, żeście mieli wziąć o-  
berżę...

B E T T Y.

I otóż w niej siedziemy... Ale ty panie?

L O V E.

Cicho... proszę, moi przyjaciele, nie wyma-  
wiajcie mojego nazwiska, moglibyście mię na-  
razić na niebezpieczeństwo.

W S R Y S C Y.

A niech Bóg zachowa.

L O V E.

Spieszę do Londynu... Chciałem nie zatrzy-  
mywać się wcale, ale mój koń tak utrudzo-  
ny... Proszę cię Sottgherl, miej o nim stara-  
nie. Wolalbym zginąć, niżeli opóźnić moją  
podróż.

B E T T Y.

Idźże więc prędko.

S O T T G H E R L.

No, no, bądź spokojna; przykryć go deką...  
chleb namoczony w piwie, nakoniec owies...  
podesłać mu słomy... Oh ja pańskiego konia  
przyjmę jak pana samego.

P A T R I C K.

Idźże.

B E T T Y.

Nic nie żałuj. (*Sottgherl wychodzi*) A wam  
sir Love czemże możemy służyć? Nie mamy  
wielkich zapasów, dopiero tu od ósmiu dni  
mieszkamy; a potem przy głównej drodze...  
jednak wszystko co posiadamy jest na wasze  
usługi.

PATRICK. (*cicho do Betty*)

Nie obawiaj się, lord Bedford płaci za niego.

L O V E.

Dziękuję ci moja Betty, proszę was tylko  
o gościnność na godzinę. Zresztą nic nie po-  
trzebuję.

B E T T Y.

Nic!.. dobry Boże! Sir Love, jak wy jeste-  
ście zmienieni!.. twarz błada!.. musieliście wie-  
le cierpieć?

L O V E.

Utrudzenie tylko....

B E T T Y.

Oh nie... wyście byli tak wesołym dawniej u mojego wuja, i w tak krótkim czasie... Z kądże sir Love przyjeżdża?

L O V E.

Z daleka moja Betty.

B E T T Y.

I tak smutny... (z cicha) Wy się ukrywacie...

L O V E.

Nie pytaj mię Betty, nie mógłbym ci odpowiedzieć!.. Jesteście mojami przyjaciółmi... aż do jutra nie wspominajcie wcale o mnie; idzie tu o moje życie.

B E T T Y.

O życie.

PATRICK. (d. s.)

Cóż on uczynił?

B E T T Y.

Oh, sir Love możesz być zupełnie spokojnym.

L O V E.

Bardzo krótko u was zabawię. Powiedzcie mi, czy nie zatrzymywał się przed waszym domem jaki młody człowiek jadący z Londy-



nu, czy nie pytał się o mnie pod nazwiskiem Artura?

B E T T Y.

Nie, przejeżdżało tędy wielu podróżnych, ale się o nic nie pytali.

LOVE. (*do siebie*)

Zapewne go dalej spotkam... stracię godzinę, ah co za męczarnia!

SOTTGHERL. (*wchodząc*)

Już ukończyłem! Koń waszej cześci leży jak w łóżku, a owsa ma po uszy. A teraz, czy mam służyć Wam ponczem, jakto wtenczas, kiedy he, he, he...

B E T T Y.

Bądźże cicho, czy nie widzisz, że on zmartwiony?

SOTTGHERL. (*do żony*)

Ah prawda; musiał się ożenić.

P A T R I C K.

Głupis, idzie tu o rzecz wielkiej wagi.

S O T T G H E R L.

Ah!

P A T R I C K.

Tak jest.

B E T T Y.

O Boże!

S O T T G H E R L.

A więc ponczu nie będzie pił?

P A T R I C K.

Eh gdzie tam.

B E T T Y.

Widzisz tedy...

S O T T G H E R L.

Widzę, widzę...ale dla tego...my możemy iść spać; już teraz jest później jak było nim on przyjechał..

B E T T Y.

Oskaruj mu nasze łóżko.

S O T T G H E R L.

Nasze łóżko?

B E T T Y.

Tak.

S O T T G H E R L.

Tak? a my na czem będziemy spali.

B E T T Y.

Nudzisz mię...Sir Love racz spocząć chwilę...

L O V E.

Dziękuję wam,..dla mnie spoczynek...nie... ja spać nie będę, zaczekam dopóki mój koń nie wytchnie abym mógł dalej jechać.

S O T T G H E R L.

Przed świtem?

L O V E.

Jak tylko będę mógł najprędzej! Nie czynicie sobie dla mnie przykrości, idźcie spać moi przyjaciele; wskażcie mi tylko kogo...

S O T T G H E R L.

Coby panu konia wydał, słuśnie, odsuniesz pan rygiel, jesteś na podwórzu, stajnia tuż, tylko okiełznać konia, stajenny pomoże, bramę zostawimy otwartą, i wyjedziesz pan kiedy zechcesz.

L O V E.

Dobrze, dziękuję.

B E T T Y.

W tej izbie znajdziesz pan zasilek, bądź sobie jak w własnym domu.

PATRICK. (*do Sottgherla*)

A zapłata?

SOTTGHERL. (*cicho*)

Bah! jakże tu powiedzieć.

LOVE. (*dając sakiewkę Betty*)

W nocy wyjadę.

BETTY. (*nie chcąc przyjąć*)

Jako panie, nie wiedząc...

L O V E.

Nieotrzymałaś odemnie podarunku ślubnego.

B E T T Y.

Dobranoc Sir Love...

P A T R I C K.

Możesz tu pan zostać bez obawy, a dla rozrywki zostawimy światło, fajki, tytuł gazety.

S O T T G H E R L.

Jeżelibyście panie czego potrzebowali, to tylko zapukajcie do tych drzwi, ale mocno, bo ja śpię tego i chrapię he, he.

B E T T Y.

Ja zaraz się przebudzę.

SOTTGHERL. (*cicho do żony*)

Obejdzie się bez tego.

L O V E,

Dobra noc wam moi przyjaciele.

W S Z Y S C Y.

Dobranoc Sir Love.

PATRICK. (*patrząc na Lova*)

Jednak to rzecz szczególna. (*odchodzą, wszyscy troje*)

## S C E N A III.

LOVE. (*sam*)

Co za nadzwyczajne przeznaczenie!..jak dziwaczne połączenie czy przemian losu czy też zdrań piekielnych! Wszystko co mnie otacza, jest tajemnicą, podstępem, okropnością... „Strzeż się mówił Morthon!..“ Dla czego?..kogóż mam mieć w podejrzeniu?..przeciw komu bronić się?..Mój stopień?..nadano mi go... Moje małżeństwo?..jest rzeczywistém, moja żona? do mnie należy... Wszystko nakoniec co się stało, istnieje, i niemoże zniknąć jak czeże marzenie. Nie, niepodobna!..ale w dniu mojego ślubu, w chwili uroczystości...był to grom piorunu! Rozkaz wyjazdu nas rozłącza... Morthon zbladł, Lady Worcester umierała prawie, Helena łzami zalana u mojego łona; ale honor nakazał mi natychmiast wypełnić powinność, była ona świętą dla żołnierza... Coż miałem uczynić, oddaję Helenę w opiekę Lady Worcester i Morthona. Pierwszy raz przycisnąłem ją do mojego serca...pierwsze pocałowanie...i wyjeżdżam. Jadę dzień i

noc, taki był rozkaz... Przybywam do portu Bristol, dwa okręty czekają na mnie. „Do Indji,“ mówią mi,.. Do Indji?..Okropna chwila; już miałem wejść na okręt, kiedy skrycie jakiś człowiek podał mi list i szybko oddalił się. Ah ten list!..połowę tylko zasłony zerwał z moich oczu. Każdy wyraz przeraża a żaden nie oświeca!..(czyta) „Love, jakimkolwiek bądź „sposobem ten list dojdzie rąk twoich, nie jedź „dalej; jeżeli honor jest ci drogim, zwróć twój „patent, śpiesz natychmiast do Londynu, wra- „caj bo każda chwila twojego oddalenia hań- „bą ci zagraża. Jadę na przeciw ciebie. Przy- „bierz nazwisko Artura, w drodze spotkasz mię „niezawodnie.“

Morthon.

Wzywa mię w imię honoru, Morthon mię nie zwodzi. Każę mi wrócić. Wracam. Za złamanie prawa wojskowego, mogę głową odpowiedzieć, lecz Morthon przewidział to, a przeciw wrócić mi kazał. Heleno!..może to dla ocalenia jej... (stajenny wchodzi)



## SCENA IV.

TOM LOVE, STAJENNY.

L O V E.

Kto tam?

S T A J E N N Y.

Przebaczcie mi panie!..

L O V E.

Czy mogę już jechać?

S T A J E N N Y.

Kiedy tylko chcecie panie, ale ja nie po to przyszedłem. Czy wy panie nazywacie się Artur!

L O V E.

Tak jest.

S T A J E N N Y.

Jakiś przyjechał, jest u bramy i powiedział mi...

L O V E.

Ah to on! biegnij, niech przyjdzie.

S T A J E N N Y.

Dobrze. (odchodzi)

L O V E.

Morthon!..dowiem się na koniec...krew we mnie zlodowaciała. (*Love spostrzegłszy Morthona, chce rzucić się w'jego objęcia, lecz on go wstrzymuje poruszeniem i daje znak stajennemu aby się oddalił. Stajenny odchodzi, zostawszy sami ściskają się przyjaźnie*)

SCENA V.

LOVE, MORTHON.

M O R T H O N.

Love!

L O V E.

Morthonie! *(po długim milczeniu)* Cóż to...  
drżysz!.. czekam cię.

M O R T H O N.

Odebrałeś więc mój list?

L O V E.

Nie mówmy już o nim!.. Morthonie... umie-  
ram... nie mówisz nic o niej...

M O R T H O N.

Wielki Boże! dla czegoż pisałem do ciebie?  
Przyjacielu, zblądziłem .. nie jedź dalej, wra-  
caj; nie ukazuj się nigdy w Bondynie.

L O V E.

Nigdy! dla czegożes mi kazał wrócić?

M O R T H O N.

Jeszcze był czas.

L O V E.

A więc już zapóźno? Nawet w oczach two-  
ich odpowiedzi czytać nie pozwalasz?.. Trze-  
ba umrzeć!.. czyliż mię oskarżono? jakaż zbro-  
dnia?.. ulituj się nademną! Nakoniec, cóż się  
wydarzyło?

M O R T H O N.

Boże!.. to, co usta wymówić nie śmieją...to,  
co już nagrodzić się nie może...

L O V E.

Ah, twoje milczenie przewyższa wszelkie  
cierpienia!.. A więc odpowiedz na zapytanie  
przynajmniej... może utraciłem przyjaciół?

M O R T H O N.

Żadnego.

L O V E.

Lady... odebrano mi stopień. (*Morthon czy-  
ni znak przeczący*) Lord Bedford...

M O R T H O N.

Zapomnij o nim.

L O V E.

Okrutny! jedno mi tylko zostaje pytanie...  
czyliż go nie zgadniesz... Drżysz... wiedzia-  
łem... nie lękaj się... zniosę stale... Powiedz!  
może jej zagraża niebezpieczeństwo? umarła?..

M O R T H O N.

Dla ciebie!

L O V E.

Dla mnie?

M O R T H O N.

Już dosyć o mej!

L O V E.

Co mówisz?.. a więc... złamała wiarę?!

M O R T H O N.

Nigdy!

L O V E.

Ah... to byłby cios śmierci... (*spokojniejszy*)  
a więc jakież inne nieszczęście, jaka tajemnica?... teraz możesz śmiało powiedzieć. (*siada*)

M O R T H O N.

Przyjacielu! posłuchaj mię z rozsądkiem... Helena... krótko ją znałeś. Twój ślub był tylko cczą formalnością. Czas wymaże to okropne wspomnienie, to przemijające szczęście. Opuść Anglję, wygładź z twojej duszy wszystko, coby ci przypominało haniebną iaskę Bedforda. Nie ośmieli się kazać ci ści-gać. Love! słabość duszy niech ci będzie nieznaną, żadnych innych uczuć, honor niech będzie twoim przewodnikiem, wyjeżdżaj, ja ci towarzyszyć będę. Udajmy się winną część świata, przyjaźń moja zastąpi miejsce tego wszystkiego coś utracił... muszę ci nakoniec powiedzieć... Helena jeszcze żyje... ale ty już nie masz żony...

L O V E.

Żyje... i nie dla mnie! Ten stopień i ohy-

da!.. Hańba i... ty płaczesz. (*prawie bez zmysłów*) Ah! raczej śmierć!

M O R T H O N.

Przyjacielu!

L O V E.

Śmierć, śmierć! złodzieielowi mojej żony!

M O R T H O N.

Dokąd Love?

L O V E.

Do Londynu.

M O R T H O N.

Ja cię nie odstąpię!

L O V E.

Pójdź... zobaczysz mię..

M O R T H O N.

Gdzież?

L O V E.

Na rusztowaniu!

M O R T H O N.

Ah!

(*Love wybiega, za nim Morthon.*)

## SCENA VI.

(*Scena przedstawia część budynku i ogrodu w Tounningthon, przeznaczonego dla lady Worcester, z lewej strony widać wnętrze pawilonu.*)

LADY WORCESTER, DOKTOR, NAUCZYCIELKI.

LADY WORCESTER.

I cóż doktorze, widziałeś tę nieszczęśliwą ofiarę, w kwiecie wieku już straconą dla nas na zawsze! Powiedz, czy jest przynajmniej nadzieja zachowania ją przy życiu?

DOKTOR.

Spodziewam się, ale nie śmiem przyrzec jeszcze. Boleść zimna i niema świadczy, że jest skutkiem głębokiej rozpacz; oko łez pozbawione, łez, któreby ulżyły jej sercu, dowodzi, że gwałtowność ciosu zniszczyła wszystkie uczucia duszy. Biedne dziecko, w obłąkaniu nie pojmuje nawet swojego nieszczęścia.

LADY WORCESTER.

Czyliż już nigdy nie pozna swojej matki? swoich przyjaciółek?

DOKTOR.

Czas, natura, i jej młodość, są wielką pomocą; ale chciej mi powiedzieć milady, jakim sposobem Helena wróciła do tego ustronia, w jakim stanie natenczas były jej zmysły?

LADY WORCESTER.

Przebacz!..byłyśmy tak strwożone. Po tym



nieszczęsnym związku, Lady Windsor nagle opuściła Londyn z młodą małżonką. Nadaremne były wyszukiwania, już zguba jej była ułożoną...Gdzie? jakimi sposobami? jest to tajemnica której wyjaśnienie nie przyczyniłoby się do jej ocalenia...Jednakże serce moje błoga jeszcze łudziło się nadzieją...gdy pewnego dnia w czasie głębokiej ciszy która świt poprzedza, odgłos dzwonu cały dom ze snu przebudza. Biegna, otwierają...była to Helena...Niestety! nie! już to nie ona była!..błada, obłąkana, odzienie podarte, wzywałam, przyjąłam ją w moje objęcia, do mojego serca... Raz tylko jeden: „matko moja“ zawołała, i od tej chwili już wszystko dowodziło zupełnego jej obłąkania. Zdawało się że ostatnie wysilenie wspierało ją dopóty, dopóki nie ujrzała się na mojem łonie.

D O K T O R.

Cóż potem Milady?

L A D Y W O R C E S T E R.

Widziałeś ją doktorze. Spokojna i smutna szuka swojego męża; i każdego wieczoragdy dziesiąta uderzy, drży, obłąkanie jej ożywia

się, i w tym okropnym stanie opowiada przerażający wypadek, który z własnych jej ust słyszałeś.

## SCENA VII.

CIŻ i THEOY, a w końcu HELENA.

T H O B Y.

Milady...

L A D Y W O R C E S T E R.

Coż tam? Czy Helena?

T H O B Y.

Wyszła z małego gajku... Panie Doktorze... otóż ona!

D O K T O R.

Wyjdźmy, niech jej się zdaje że jest sama, że jest wolna.

L A D Y W O R C E S T E R.

Ztąd uważać ją będziemy. (*Helena zbliża się zwolna*)

L A D Y W O R C E S T E R.

Ciągle szuka przedmiotu tak drogiego dla jej serca.

D O K T O R.

Nie przeszkadzajmy jej. (*wszyscy oddalają się w głąb ogrodu*)

HELENA.

Nie...nie tu...nie tu jeszcze. (*przyciska chustkę do oczu*) Ani jednej łzy!.. Tam, może. (*zwraca się do pawilonu*)

DOKTOR.

Nieszczęśliwa!

LADY WORCESTER.

Ten widok jest nad siły moje!.. *Helena* (*wchodzi do pawilonu*)

DOKTOR.

Łagodny stan jej pomieszczenia nie dozwala używać środków surowych. Ponieważ ta część ogrodu jest oddzielną od mieszkania innych pensjonarek, i nikt obcy tutaj nie wchodzi, można zostawić nieszczęśliwą w zupełnej wolności. Nadewszystko zalecam szanować samotność, której tak zdaje się pragnąć. (*odgłos dzwonu*)

LADY WORCESTER.

Powinność nas wzywa. Jedną z was moje przyjaciółki niech zostanie w tej stronie. Doktorze, bądź łaskaw nie oddalaj się ztąd do mojego powrotu.

DOKTOR.

Chętnie Milady.

LADY WORCESTER. (*do kobiet*)

Niech nikomu nie pozwalają się przybliżyć.  
(*do Doktora*) Drogi przyjacielu, polecam ją  
twoim staraniom. (*wszyscy wychodzą, noc;*  
*Love i Morthon ukazują się okryci płaszczami*)

## S C E N A VIII.

TOM LOVE, MORTHON.

L O V E.

Gdzież jesteśmy?

M O R T H O N.

W części ogrodu, należącego do mieszkania Lady Worcester. Pierwszy raz bez niej tu się znajduję.

L O V E.

Pewnym jesteś, że nikt nas nie widział?

M O R T H O N.

Już było ciemno, a sposób jakiego użyliśmy, aby się tu dostać, zapewne aż dotąd zdawał się niepodobnym do wykonania.

L O V E.

Jesteśmy blisko niej...

M O R T H O N.

Przybyliśmy na koniec do celu twoich życzeń; to schronienie ukrywa Helenę...nie

śmiem powiedzieć twoją żonę... W tém ustro-  
niu nie znając sama swojego nieszczęścia, pę-  
dzić ma dni zdala od świata, a wkrótce mo-  
że stać się łupem śmierci... Czegoż tu szukać  
przychodzisz? okropnej przyjemności, widzieć  
ją umierającą; jakiegoż dzikiego zadowolenia  
serce twoje spodziewać się może z podobne-  
go spotkania? Nie będzie mogła poznać cię,  
jakiż widok dla ciebie, co za męczarnia! A  
gdyby obecność twoja przywróciła jej ro-  
zum...

L O V E.

To jedyna moja nadzieja!..czyż powinie-  
nem przytłumić uczucia miłości?..czyliż była  
występną?..

M O R T H O N.

Już utraciłeś ją na zawsze.

L O V E.

Nikczemny zwodziciel odpowie mi za tak  
okropną stratę.

M O R T H O N.

Biędny Love!.. Nawet téj ofiary ponieść jej  
nie możesz... Już los uchronił go przed two-  
im gniewem.

L O V E.

Już nie żyje! Któż mi go wydarł?

M O R T H O N.

Umarł, przeszyty ciosem śmiertelnym, brata jednej ze swoich ofiar.

L O V E.

Umarł!..a nie moja dłoń wydarła mu życie!

M O R T H O N.

Love, błagam cię, tu tylko powiększą się twoje nieszczęścia...trzeba uciekać.

L O V E.

Muszę ją zobaczyć...Ta żądza, ta nieodbita potrzeba której ci wyjaśnić nie mogę, jest tajemnicą mojego serca. Muszę ją widzieć...jeszcze jest moja, ale czas upływa...noc ciemna...mówisz więc że to w tej stronie?..

M O R T H O N.

Zaczekaj...chcesz...Pozwól mi dowiedzieć się czy jeszcze żyje...Co słyszysz?

L O V E.

Tam...

M O R T H O N.

Ten pawilon należy do lady Worcester...ale nikt w nim nie mieszka.

L O V E.

Patrz...



M O R T H O N.

Drzwi otwarte... przy świetle księżyca...  
Nieba!.. cóżem widział!

L O V E.

Cóż takiego?

M O R T H O N.

Love, mój przyjacielu, władaj twoją bole-  
ścią, twoją niecierpliwością.

L O V E.

Cóż to ma znaczyć?

M O R T H O N.

Przyrzecz mi, że będziesz spokojnym... ona  
jest tam...

L O V E.

Helena!

M O R T H O N.

Cicho... otóż ona...

*(Helena ukazuje się w pawilonie.)*

L O V E.

Tak, to ona!

M O R T H O N.

Drżysz... chwiejesz się... Love... więcej sta-  
łości duszy.

L O V E.

Zostaw mię z nią sam na sam, to jest pier-  
wsza i ostatnia chwila mojego szczęścia, a mo-  
że i życia. Zostaw mię. Idź...

M O R T H O N.

Będę tu blisko.

L O V E.

Oddal się.

(*Morthon oddala się, Helena wychodzi z pawilonu.*)

## SCENA IX.

HELENA, TOM LOVE.

L O V E.

Wielki Bóże!.. była szczęśliwą, otoczoną blaskiem... dziś uśmiech nie zdobi jej lica, znikły radość i szczęście! Nikczemni!.. Czy pozna mój głos... Heleno!..

H E L E N A.

Kto mię tak nazywa?.. Już mam inne nazwisko... czy o tem nie wiedzą?.. nazywam się lady Love... Dla czegoż mi zdjęli ubiór balowy... wieniec ślubny... byłam tak ładną... on mi to powiedział!..

L O V E. (*n. s.*)

O męczarnie!.. nie poznaje mię. (*głośno*) Heleno!..

H E L E N A.

Jeszcze! gniewać się będę!.. pyszniłam się,

kiedy mię nazywano lady Love... mój mąż  
tak przyjemny!..

L O V E.

Twoje serce pamięta o nim?

H E L E N A.

O moim mężu! czyliżem nie przysięgła ko-  
chać go całe życie? Nie znacie mojego Love,  
a więc czego chcecie odemnie, szukam go,  
nie zatrzymujcie mię...

L O V E.

Wstrzymaj się... słuchaj mię... Droga He-  
leno, moje spojrzenie, moje łzy, może przy-  
wróca w twojej pamięci ciebie samą... zostań  
przy mnie, odpowiadaj bez obawy; przyjaciel...  
Lova mówi z tobą, chce ci powrócić two-  
jego męża... rozumiesz mię?..

HELENA. (*uwważając go, i dotykając się*)

Zostań, zostań, ten ubiór!.. i on miał taki...  
mów, lubię twój głos, bardzo mi przyjemny.

L O V E.

Nieba wspierajcie mię!.. Droga Heleno, przy-  
pominasz więc sobie Lova, twoje zameście;  
opuścił cię...

H E L E N A.

Nie!.. przemocą porwali go odemnie.

LOVE. (n. s.)

Pamięta dobrze.

HELENA.

A potem... Ah! potem... nie wiem nic więcej...  
pójdź... pójdź szukajmy go.

LOVE.

Posłuchaj mię jeszcze... Szukasz go... a ja  
przynoszę ci wiadomość od niego!

HELENA.

Ty!..

LOVE.

Widziałem go.

HELENA.

Mojego męża?.. gdzież on jest?.

LOVE.

Jeżeli zechcesz mię posłuchać, zobaczysz  
go wkrótce... Tak... twój mąż... Love, oddam  
ci go, nie zniszczyli bowiem ani jego miło-  
ści, ani twojej cnoty; w innej części świata,  
możesz jeszcze być wzorem żon.

HELENA.

Ty znasz Lova? nie chodź, pójdź, usiądź,  
będziemy mówić o nim... tak... tu, tu przy  
mnie... (siadają) Wszystkich się obawiam, ale  
ciebie nie... Twój głos podobny do jego gło-  
su... patrzysz na mnie tak jak on spoglądał...

nawet ten sam uśmiech... jak gdyby snu marzenie... ah lękam się... (*chce się oddalić*)

L O V E.

Oh bądź spokojna... błagam... Love wołałby zginąć, niżeli stać się przyczyną najmniejszej dla ciebie przykrości... Gdyby to on był, dla czegożbyś się obawiała! nie byłaś wcale występna! Oddał wszelką bojaźń z twojego serca, przywiedź sobie na pamięć twoje wspomnienia; spojrzij na mnie Heleno! Miłość, która wyryła mój obraz w twojem sercu, może rozedrze okropną zasłonę z twoich oczu... Zbliź się do mojego łona, tu jest najpewniejsze twoje schronienie... Heleno, gdybym ci teraz powiedział: Jestem twoim mężem, jestem Love, czyliżbyś nie była szczęśliwą? nie poznałabyś mię?..

H E L E N A.

Ty?.. (*dziesiąta godzina bije*)

L O V E.

Bledniejesz... Boże! nie zdołamże jej ocalić?

H E L E N A. (*wstaje*)

Ah!.. słuchaj!

LOVE. (*wstając także, d. s.*)

Straszliwa godzina; Morthon mi powiedział...

HELENA. (*obłąkana, w szaleństwie*)

Love!.. Love!.. już pojechał... matko, matko moja, ulituj się nademną... Ab nie powiedzcie mojemu mężowi... niech się nigdy nie dowie dla czego powinna byłam umrzeć.

L O V E.

Oh!..

HELENA. (*chwytając rękę Lova*)

Słuchaj, słuchaj matko, dowiesz się o wszystkim... a przekonasz się, że muszę umrzeć... bo Love jużby mną pogardził...

L O V E.

Ah mów... cierpienie przewyższa siły moje...

H E L E N A.

Widziałaś go odjeżdżającego... i mnie także wydarto z rąk twoich... wzywam twój pomocy.

L O V E.

Zbrodniarze!..

H E L E N A.

Powóz oddalał się prędko... prędko, bardzo prędko!.. za Londyn daleko. Był to wspaniały



zamek, otoczony drzewami; a lady Windsor powiedziała do mnie: Ten zamek jest twoją własnością.

L O V E.

Niegodna!..

H E L E N A.

Mślałam, że on do mojego Lova należy, że go znowu zobaczę.

L O V E.

Zawsze niewinna!

H E L E N A.

Czekano na nas... wszystko okazywało przepych... świetność!.. ale był tam jakiś nieznamy... wielki pan... był to właściciel...

L O V E.

To on...

H E L E N A.

Tak jest... widzę go! wszyscy się oddalili... Mówi do mnie... wstyd mię ogarnia!.. Nie milordzie, niechcę cię słuchać... jestem żoną! Gdzież jest milady?.. i ona mię opuściła. Matko... gdzież mię prowadzą?.. co za bogactwa, nie jestem więc u mojego męża?.. Ktoś idzie. Ah! jeszcze ty milordzie!.. klęczy przedemną!.. co za mowa... nigdy!.. nigdy... puść mię... raczej śmierć!

( 151 )

L O V E .

Nikczemny!

H E L E N A .

Matko moja!..matko!..Ah przez litść, śmierć!

Love!..Love...

L O V E .

Heleno!

HELENA. *(rzucając się w jego objęcia)*

Love! Ah to ty! *(nieporuszona przez chwilę zostaje w jego objęciu)*

L O V E .

Niestety!

H E L E N A .

Gdzież jestem?..Mój mąż!..to on...()h Boże...  
czyliżem powiedziała?!

L O V E .

Heleno...nie lękaj się...

H E L E N A .

Ah! hańba spada i na niego!

LOVE. *(wspierając upadającą Helenę)*

Piekła!..ten potwór!..Heleno!

H E L E N A .

Umieram...mężu, litości!..Przebaczenia!

L O V E .

Przebaczenia!

H E L E N A .

Jam niewinna... Oni to...Ah Love! Love!  
nie przeklinaj mnie!

( 152 )

L O V E.

Heleno! Wielki Boże!

H E L E N A.

Przyeiskasz mię do twojego serca! Umieram  
szczęśliwa!..Love!..Ah! Boże! (*umiera*)

L O V E.

Heleno!..nie odpowiada! Pomocy!.. Mortho-  
nie!..Ah!.. (*Morthon, Doktor i dwie nauczy-  
cielki*)

## S C E N A X.

MORTHON. LOVE, HELENA, DOKTOR i DWIE  
NAUCZYCIELKI.

M O R T H O N.

Coż to jest?

LOVE. (*wskazując mu Helenę bez życia*)  
Patrz!..zimna!

M O R T H O N.

Nieba!..przeczuwałem to!..któs idzie.

L O V E.

Nie dbam oto weale!.. niech mię pochwyca,  
śmierć zadadzą; ale pomocy, ratunku!..

D O K T O R.

Co widzę? któż pan jesteś?

L O V E.

Jej mąż!

D O K T O R.

Sir Love.

L O V E.

Dozwolicież jej wyzionąć ducha na moich rękach?

D O K T O R.

Nieszczęśliwy! już za późno. (*odgłos dzwo-  
nu, Lady Worcester przybiega ze wszystkie-  
mi*)

L A D Y W O R C E S T E R.

Coż to jest?..jakiż nieszczęście!..Sir Love!  
Wielki Boże! moja córka!

L O V E.

Bogu ostatnie oddała technienie!

L A D Y W O R C E S T E R.

Niewinna ofiara! tam znajdzie cierpień na-  
grode. (*milczenie religijne, wszyscy kłękają,  
modlą się, Sir Love kłęka przyciskając do ust  
rękę Heleny. Obraz, zasłona spada*)

K O N I E C.

The first part of the paper deals with the  
 general principles of the theory of  
 the differential equations of the  
 second order. The author discusses  
 the conditions under which the  
 solutions of these equations are  
 unique. He also considers the  
 problem of the continuation of  
 the solutions beyond the points  
 where they become singular. The  
 author shows that the solutions  
 can be continued as long as they  
 do not reach a point where the  
 coefficients of the equation  
 become infinite. This result is  
 of great importance in the  
 theory of the differential  
 equations of the second order.

**ZŁE**  
**WYCHOWANIE,**

K O M E D J A

W D W Ó C H A K T A C H.

ze śpiewkami, z muzyką JP. Damse.

*z francuzkiego*

PP. Epagny i A. Decombrouſſe

T Ł U M A C Z O N A.



PRZEDSTAWIONA PIERWSZY RAZ  
NA TEATRZE ROZMAITOŚCI.

*dnia 30 Kwietnia 1837 r.*



## O S O B Y.

PANI DE PRANGEY,	JPi. <i>Rembecka.</i>
LEONIDA, jej córka,	JPa. <i>Złotoszewsku.</i>
FANNY, jej siostrzenica,	JPa. <i>Daszkiewicz.</i>
DESORMES, wuj Leonidy i Fanny,	JP. <i>Szymanowski.</i>
RAJMUND, jego przyjaciel,	JP. <i>Jasiński.</i>
ERNEST DE CHATENOY,	JP. <i>Karasiński.</i>
ANUSIA, służąca pani de Prangey,	JPa. <i>Możdżeńska.</i>
BERTRAND, domownik pana Desormes,	JP. <i>Masłowski.</i>
ODZWIERNY,	JP. <i>Wróblewski.</i>
SŁUŻĄCY.	

*(Rzecz dzieje się w Paryżu w domu  
p. Desormes)*

# ZŁE WYCHOWANIE.

## A K T I.

*(Scena przedstawia salonik, drzwi w głębi i po obu stronach przy samej dekoracji, z prawej aktorów pokój Leonidy, z lewej pani de Prangey. W pierwszej kulisie po prawej drzwi do pokoju Fanny, po lewej w tejże kulisie wielkie okno, blisko okna kanapa. Między drzwiami w głębi i drzwiami z prawej, sztalugi na których wielki obraz, przykryty zasłoną zieloną)*

## S C E N A I.

RAJMUND, DESORMES. *(za podniesieniem zasłony siedzą przy stoliku stojącym niedaleko pokoju Fanny i kończą partje walców)*

DESORMES.

Kochany Rajmundzie, nie wygrasz ani jednej.

R A J M U N D.

Prawda, jesteś moim nauczycielem panie Desormes.

D E S O R M E S.

Ale, bo twoja głowa gdzie indziej...eh! czyś ty czasem nie zakochany...

R A J M U N D.

Ja!

D E S O R M E S.

Gdyby tak było...do licha, to bardzo dobrze. Powiesz mi, a ty nie ożeniłeś się, ja...prawda; ale osiadłem tu z moją siostrą, z moimi siostrzenicami...i od tej chwili jestem najszczęśliwszy z ludzi.

R A J M U N D.

Bardzo wierzę.

D E S O R M E S.

Do kata! byłbyś także takim mając upodobanie w przyjemnościach domowych, poznałem cię już cokolwiek, od dwóch lat jak mieszkasz w moim domu, i poświęcasz się dla gawędki lub partji warcabów z dawnym przyjacielem twojego ojca...

R A J M U N D.

Zapewniam pana, że to poświęcenie jest dla mnie bardzo wielką przyjemnością.

DESORMES.

Wyobraź więc sobie, jeżeli ci się podoba ze mną samnasam, coby to była za przyjemność z młodą i świeżą twarzą! a do tego jeszcze z młodą osobą która odebrała dobre wychowanie.

RAJMUND.

Prawda, gdyby jednak można wiedzieć wprzód co rozumieją przez dobre wychowanie, bo częstokroć to jakie dają młodym dziewczętom, nie zmienią, ani kształci ich sposobu postępowania, przytłumia go tylko...

DESORMES.

Ah, ah! to coś trąci epigramatem przeciw Leonidzie.

RAJMUND.

Proszę tak źle nie myśleć o mnie.

DESORMES.

Wiem, wiem że Leonida pomimo swojego umiarkowania i skromności, zdaje ci się przesadzoną, skromnisią tylko, nie przebaczysz jej nigdy sławnej pensji gdzie była wychowaną... Jednak ja utrzymuję, że osoba która życie swoje poświęciła wychowaniu młodzieży, powinna lepiej znać się na tém, jak...

RAJMUND. (*przerrywając*)

Jak pokryć jednostajnym połyskiem wszystkie błędy a nawet zalety.

SPIEW NRO 1.

Patrz na ten zbiór pięknych twarzy,  
Ledwie pierwszy postawisz krok,  
Gdy widok urokiem darzy,  
Spuszczają wnet na rozkaz wzrok.

Każda nawet znak rozumie,  
Teraz patrz się, a teraz skłóń,  
Śmiać się, wstydić, milczeć umie,  
Jak na komendę: wramię broń!

D E S O R M E S.

I cóż to szkodzi, jeżeli ten zbiór dokładnie wypełnia swoje obowiązki.

R A J M U N D.

Wszystko, co tylko pan zechcesz, co do mnie, mniejbym się obawiał widocznego błędu, jak najłżejszej ukrytej niedoskonałości.

D E S O R M E S.

A jednakże moja druga siostrzenica, ten trzpiot Fanny, której w pięć minut można poznać wszystkie błędy, mniejci się jeszcze podobna od kuzynki.

RAJMUND. (*prędko*)

Któż panu powiedział!..Panna Fanny za-  
sługuje bardzo...

DESORMES.

Ah dałbym wszystko aby Fanny takie ode-  
brała wychowanie jak Leonida... ona jest  
tak lekkomyślna, nieroważna. Biedne dziec-  
ko, nie jej wina, wychowana na wsi przy  
swojej poczciwej matce, która tę tylko mia-  
ła zaletę, że jej mąż był z nią zupełnie szczę-  
śliwy...

RAJMUND.

Ja myślę że to już jest coś.

DESORMES.

Ha, nie jesteś szczerym, mniemasz, że się  
staram wydać za mąż moje siostrzenice, a że  
nie chcesz ani jednej ani drugiej, udajesz ja-  
kobyś postrzegał wady w tej która by przyzwo-  
itą była dla ciebie partją, a doskonałość w tej  
której ci nawet ofiarować nie można.

RAJMUND.

Upewniam cię panie Desormes, że nigdy  
błędniej nie zrozumiałeś mię, i chciałbym  
być tak szczęśliwym ażeby panna Fanny...



DESORMES.

Bah, bah! zawsze jąganisz, łajesz bezprze-  
stanku.

RAJMUND.

Byłoby to dowodem że mię nie zajmuje?

DESORMES.

Dajżeż pokój.

## SCENA II.

CIŻ i ANUSIA.

DESORMES.

No i cóż, Anusiu, czy panie powróciły z ba-  
ła? (*patrzy na zegarek*) Blisko dwunasta.

ANUSIA.

Nie, jeszcze nie wróciły, chciałam panu  
ważną rzecz powiedzieć.

DESORMES.

Cóż takiego?

RAJMUND.

Możem zbyt czyny...

ANUSIA.

Nie panie, przy niebezpieczeństwach jakie  
nam nagrażają, mężczyzna nie może być za  
wiele w tym zamku.

DESORMES.

Przy niebezpieczeństwach?

ANUSIA.

Tak jest... Czyliż pan nie wie co się wyda-  
rzyło zeszłej nocy na przyległej uliczce?

DESORMES. (*śmiejąc się*)

Co... dla tego że wyniesiono meble z domu, może jaki biédak, który chciał wyprowadzić się ze szkodą właściciela, myślisz już o łupieztwie, podpaleniu.

A N U S I A.

Tak, tak, Bertrand panu to samo powie co i ja... Otóż tedy gdyby pan chciał, on podjąłby się dla naszego bezpieczeństwa trzymać straż...

D E S O R M E S.

Dobrze, jeżeli go to bawi, niech pilnuje noc całą.

A N U S I A.

Tak, ale onby chciał pilnować z czymciś...

D E S R M E S.

Aha! zapewne z butelką wina?

A N U S I A.

Nie, z czymciś, jest naprzykład z bronią, i przysłała mię prosić pana o pozwolenie wzięcia jego fuzji.

D E S O R M E K.

Niech weźmie, chociażby tylko dla twojej spokojności. Tylko poleć mu, żeby nie popełnił jakiej nierostropności.

A N U S I A.

Oto niech pan będzie spokojny, cały dom będzie zadowolony.

### SCENA III.

CIZ, LEONIDA, FANNY, (później) PANI PRANGEY.

(*Leonida i Fanny wszedłszy, zdéjmują szale i oddają Anusi.*)

DESORMES. (*do Leonidy*)

No i cóż, dobrze się bawiono? bal piękny?

FANNY.

Oh przepyszny! okazałe salony, ubiory! oh Boże! co za ubiory! dobór orkiestry, wszystko tak było pociągającym...

DESORMES.

I ty uległaś temu pociągowi?

FANNY.

Dla mnie tego nie potrzeba, jabym tańczyła przy multance nawet. Mimo tego jednak, gdybyście wiedzieli, jakie też śmieszne twarze męzczyzni teraz mają, z temi wymuskanemi główkami, a nadewszystko te bródki!

LEONIDA.

Dziecię jesteś, kiedy taka moda!

FANNY.

Zawsze mi to samo powiadasz, ilekroć coś

śmiesznego w czém znajduję. Nie zważając jednak na modę, dosyć się naśmiałam. Boże, jakżem się śmiała! ale nie w obec nich, oh nie! ale skrycie, odwróciwszy się. Przecież nigdy nie widziałam piękniejszego balu, ciebie tylko brakowało mój wuju.

D E S O R M E S.

Ażebym cię łajac, trzpiotałaś się więc bardzo?

FANNY. (*ściskając wuja, po cichu*)

Dosyć, jednakże ile tylko mogłam najmniej.

D E S O R M E S.

Jest szczerą. (*witając wchodzącą Panią de Prangey*) Witam siostró!

PANI DE PRANGEY.

Witam was moi panowie.

R A J M U N D.

Pani... panna. (*Leonida kłania się poważnie*)

FANNY. (*do Rajmunda*)

Jakto, pan tu? ręczę, że tu cały wieczór przepędzicieś.

PANI DE PRANGEY.

Choćby i tak było, cóż to pannę obchodzi?

FANNY.

Obchodzi mię, ponieważ mężczyźni powin-

ni być na balu, byłabym może tańczyła jednego kontredansa więcej. A potem miałam chęć nauczyć go galopady.

R A J M U N D.

Gdybym był mógł wiedzieć o jej tak dobrej chęci...

PANI DE PRANGEY. (*do Fanny*)

Nigdyz więc nie przejmiesz przyzwoitszego sposobu obejścia? Patrz na Leonidę, twoją kuzynkę.

F A N N Y.

Oh Leonida! chciałabym być do niej podobną! ale to nie tak łatwo; ona jest samą doskonałością, a ja czuję, że nigdy nią nie będę.

RAJMUND. (*do pani de Prangey*)

Przebacz jej pani.

DESORMES. (*wraca do Rajmunda*)

PANI DE PRANGEY.

Ale bo pan nie wiesz całego jej postępowania dzisiejszego wieczora.

D E S O R M E S.

Cóż takiego uczyniła?

PANI DE PRANGEY.

Co tylko chcesz... rozmawiała z mężczyznami, z taką płochością, a często nawet z tymi, którzy się nie odzywali do niej.

F A N N Y.

Ale bo też najnudniejsza rzecz w świecie,  
stać obok tancerza, który nic nie mówi, a cza-  
sem mniej niż nic.

SPIEW, NR 2.

Cóż czynić, proszę,  
Gdy nie mówią słowa,  
Ta niema wymowa,  
Przecież nie rokosze.  
I skryty śmiech  
Czyż ma być grzech?  
Zerwać milczenie  
Ludzkość nakłania,  
By nie pomnażać  
Ich pomieszania.

Ten miłym tonem  
Z słodkim nętonem,  
Myślę że grzeczność mi powie,  
Gdzie u niego grzeczność w głowie?  
(*mówi*)

Cały tydzień mieliśmy pogodę.

(*śpiewa, prześladując*)

Ale napróżno widok ten zachwyca,  
Deszcz pewno będzie ze zmianą księżyca,



Nie śmiać się proszę!  
Ah to roskosze!

Ten znów modniś śmiały,  
Niby widzi krótko,  
Myśli że świat cały  
Podbije swą bródką.

*(mówi)*

Czy pani pozwoli, przeciągle zapyta.

*(śpiewa j. w.)*

Naszych trudów warta,  
Każdego uderza  
Galopada świeża  
Sławnego Mozarta.

Nie śmiać się proszę!  
Ah to roskosze!

Nakoniec dowcipniś młody  
Co wesołość wszędzie nieci,  
Wzór ułożenia i mody  
Wzniesiony na palcach leci.

*(mówi)*

I chcąc by go wszędzie chwalono...

*(śpiewa j. w.)*

Obfity dowcip młodzika  
Ten w wyborne mieści plody,

Że do tańca jest muzyka,  
A dla chłodzenia są lody.  
Nie śmiać się proszę!  
Ah to roskosze.

(*Anusia podczas śpiewu odniosła stolik w głąb*)

L E O N I D A.

Wtenczas milczuć wypada.

F A N N Y.

Milczuć, ah to bardzo zabawnie, stać i nic nie mówić, i patrzeć jeszcze w ziemię, żeby nie uchybić przyzwoitości, bo to jest nieprzyzwoicie spojrzeć na kogo śmiało. Dobrze, na drugi raz będę się starała....

R A J M U N D.

Panie zapewne potrzebują spoczynku.

F A N N Y.

Ja wcale nie, jabym jeszcze poszła na bal i na nowo zaczęła..:

R A J M U N D.

Panibys więc życzyła sobie, aby życie było ciągłym balem?

FANNY. (*trzpiotowato*)

Ah gdyby to być mogło!... dla wielu osób byłoby utrudzeniem. ale ja, ja myślę żebym się przyzwyczaiła.

RAJMUND.

Panna Leonida nie powiedziałaaby tego... widzę dobrze, że jej oczy już tęsknią do spoczynku.

FANNY. (*śmiejąc się*)

Pan tak myślisz dla tego, że je trzyma spuszczone w ziemię. Zapominasz więc, że to jest nałóg, to dla przyzwoitości.

LEONIDA.

Ponieważ skromność i przyzwoitość wrodzona młodym pannom, nakazują nam tak postępować.

FANNY.

Ja nie powiedziałam aby cię obrazić.

LEONIDA.

Ah wiem dobrze że nie nie jesteś zdolną nawet do tego... i zamiast gniewać się...

FANNY. (*przyjaźnie*)

Słusznie, nie gniewaj się, wiesz jaki ja pustak, to nawet poszło w przysłowie w całej rodzinie.

RAJMUND. (*do Desormes*)

Wyborne serce!

DESORMES. (*do Rajmunda*)

Tak, ale co za głowa!

PANI DE PRANGEY.

No, już czas oddalić się, tak jestem zmęczoną. (*Fanny i Leonida całują panią de Prangey*) A wy moje dzieci bądźcie rozsądne i nie czyńcie same sobie przykrości; zamiast rozmawiać noc całą, jak to wam się często przytrafia, idźcie natychmiast spać. Jutro będziecie miały dosyć czasu do rozmowy.

LEONIDA.

Dobrze mam. (*nachyla się do p. Prangey, która ją całuje w czoło*)

FANNY. (*ściskając ją za szyję*)

Spij dobrze moja ciociu. Bo co ja, to jestem pewną, że całą noc we śnie tańczyć będę.

PANI DE PRANGEY.

Oj ty, ty trzpiocie!.. Anusiu! świecy!

ANUSIA.

Oto jest. (*podaje, potem wychodzi i wraca za chwilę, niosąc dwie świece zapalone*)

DESORMES.

Kochany Rajmundzie, idąc do mego pokoju, poświęcę ci aż do twoich drzwi.

RAJMUND. (*cicho do Fanny*)

Jeżeli kiedy żądać będziesz, abym poszedł na bal; powiedz mi tylko.

FANNY. (*wesoło, kładąc palec na usta*)  
Nie trzeba nigdy mówić z mężczyznami.  
(*Fanny i Leonida ściskają wuja*)

D E S O R M E S.

Dobranoc wam moje dzieci.

FANNY I LEONIDA.

Dobra noc.

R A J M U N D.

Zegnam.

(*Fanny i Leonida odpowiadają ukłonem P. Rajmundowi, Anusia wchodzi ze świecą do pokoju pani Prangey, Rajmund odprowadza ją aż do pokoju, i wychodzi głębią z panem Desormes.*)

## S C E N A IV.

LEONIDA, FANNY, (później) ERNEST.

FANNY. (*do Leonidy*)

Na spieszmy się, chcesz żebym ci pomogła? (*zdejmuje Leonidzie girlandę z kwiatów, kładzie na kanapie razem ze swoim bukietem*)

L E O N I D A.

Na cóż tak się spieszyć?

FANNY.

Ponieważ ciocia kazała.

LEONIDA.

Oh moja mama myśli zawsze że koniecznością jest spać. Pomówmy cokolwiek.

FANNY.

Prawda, to tak przyjemnie po powrocie z balu. Co za szkoda żeśmy tak wczesnie przyjechały!

LEONIDA.

W chwili kiedyś się najlepiej bawiła.

FANNY.

Co? dobrze się bawiłaś? rzecz szczególna! nie miałaś wcale twarzy wesołej.

LEONIDA.

Cóż ztąd? Nie widziałaś więc Ernesta?

FANNY.

Widziałam... wszakże cię ani na krok nie odstępował.

LEONIDA.

A więc domyślasz się...

FANNY.

Ale kiedy, bo zaledwie zdawałaś się uważać na niego; do tego stopnia, że gdybym nie wiedziała iż pisujecie do siebie, co jest rzeczą niezawodną, ponieważ jestem twoim sekretarzem, od czasu kiedy skaleczyłaś palec, wła-



śnie w ten dzień, gdy pierwszy jego bilet odebrałaś...

L E O N I D A.

Prawda, i gdyby nie dobroć twoja...

F A N N Y.

No, ale teraz już cię paluszek nie boli, i mogłabyś pierwszy raz sama... Ale powiedz mi, dla czego tak ozięble obchodziłaś się z nim tego wieczora? możnaby powiedzieć, że się nie znacie wcale.

SPIEW, NR 3.

Ja widząc tę twarz surową,  
Taką powagę w postawie,  
Wątpiłam już, daję słowo...

L E O N I D A.

Ty się nie znasz na tém prawie.  
Czyliż na balu trzeba moje dziecię  
Skrytości serca podawać obmowie?  
Ci gniewem płoną, wy wszyscy powiecie,  
A to najszczerzy będą kochankowie.

F A N N Y.

Gdy surowość w wielkim tonie  
Jest oznaką zyczliwości;  
To pewno na wsi mąż żonie  
Biciem dowodził miłości.

F A N N Y.

Gdzieżeś tygo poznała?

L E O N I D A.

Oh! oddawna, blisko sześć miesięcy; by-  
łam jeszcze na pensji.

F A N N Y.

Jakto? na pensji pozwalano wam widywać  
się z mężczyznami?

L E O N I D A.

Co za myśl! czyliż kiedy pozwalają na to?

F A N N Y.

A więc jakimże sposobem?

L E O N I D A.

Szukało się pozorów, Ernest był przyjacie-  
lem syna naszej *Madam*, i dla tego miał spo-  
sobność znajdować się na zabawach które  
nam dawano niekiedy.

F A N N Y.

Zabawy, taniec!.. ah co to za przyjemne ży-  
cie na pensji! Ja będąc na wsi przy mojej bie-  
dnej matce, tylko raz w rok tańcowałam, w u-  
roczystość patrona wioski. Pan Ernest jest  
dosyć przyjemny.

L E O N I D A.

Cdyby nie to, czyliżbym go przенiosła nad  
innych?

F A N N Y.

Musi być przyjemny i w rozmowie? he? rozumny, nieprawdaż?

L E O N I D A.

Nie bardzo, ale jaki sposób obejścia, jak jeździ na koniu, kiedy siedzi w *tilbury* powozi z taką zręcznością, że mógłby przejechać człowieka i nie zaszkodzić mu. A potem bogaty, jest to przymiot...nakoniec Ernest de Chatenoy, nazwisko bardzo dawne.

F A N N Y.

A więc! ponieważ przyzwoita partja, czemuż tedy on nie powie matce, stryjowi?...

L E O N I D A.

On na tém musi zakończyć, przywiode go wkrótce do oświadczenia się.

F A N N Y.

Jakto! alboż on tego sam ze siebie nie uczyni?

L E O N I D A.

Biedna Fanny! z łatwością dostrzedz można żeś odebrała wiejskie wychowanie. Nie wiesz co jest próżność młodzieży; jeżeli im się nie zdaje że ich przenosisz nad dwudziestu współżalotników, że jesteś zdolną dla nich do po-

święcenia...romantycznego, nigdy się do niczego nie nakłonią.

FANNY.

Niepodobna!..ale ponieważ cię kocha, będąc na twojem miejscu powiedziałabym mu: „Mój przyjacielu, chcę abys natychmiast pomówił z moją matką.“

LEONIDA.

Co za niezręczność! mógłby mię porzucić. (z żywością) Sądziłby że go kocham tylko dla tego aby go wziąć za męża.

FANNY. (szczerze)

A więc czy ty go nie kochasz aby go wziąć za męża?

LEONIDA.

Ale tak, zrozumiej mię. Mężów zwyczajnych, nie znaczących odsyła się do krewnych; ludzi mających, 7 do 8000 franków rocznego dochodu! ale mężów wyższego stanu których zdobywać trzeba, mimo nierówności znaczenia i majątku...ah!...

FANNY.

Mój Boże, a ja nic o tém nie wiedziałam, nie rozumiem tego co ty mi powiadasz.

L E O N I D A.

Przynajmniej rozumiesz, że młoda osoba nigdy nie powinna okazywać po sobie iż pragnie iść za mąż.

F A N N Y.

Proszę, a to dla czego? ja z tym się nie taję że mam wielką ochotę nazywać się już panią.

L E O N I D A.

No przynajmniej się tego nie mówi, tym właśnie sposobem wzbudziłam w Ernestie namiętność zbyt gwałtowną, kocha mię do szaleństwa.

F A N N Y.

Tym lepiej...ale czy pewną tego jesteś?

L E O N I D A.

Czy jestem pewną?..słuchaj, przeszłego roku na balu, mój bukiet odpiął się, nie wiem sama jakim sposobem, nie sędzę abym to umyślnie uczyniła, nakoniec upadł. Ernest podniósł go i nigdy nie chciał mi go powrócić. Dziś nawet mówił mi: że go starannie zachował, a gdy mu odpowiedziałam że temu nie wierzę, przysiął że mi dowiedzie.

F A N N Y.

Dowiedzie?

L E O N I D A.

I to przed jutrem.

F A N N Y.

Przed jutrem...niepodobna!

LEONIDA. (*zmieszana*)

Co ci powiedziałam...jest niepodobieństwem..  
jednakże dowodzi ile mnie kocha.

FANNY. (*rozważając*)

Niepodobieństwem!..nie, czekaj, teraz pe-  
wna jestem że wykona co powiedział.

L E O N I D A.

Pewną jesteś?

F A N N Y.

Tak. Przez cały czas kiedy tańczył ze mną  
czy wiesz o czym mówił?

L E O N I D A.

O mnie bezwątpienia.

F A N N Y.

Bynajmniej, o domu, o ogrodzie, o tarasie, na-  
koniec pytał mnie o tyle objaśnień, jakby  
chciał nabyć ten dom, i powtarzam że znaj-  
dzie sposób przekonania cię, iż przyszedł  
z twoim bukietem.

LEONIDA. (*patrząc na okno*)

Jakby to być mogło. . . o tej godzinie... on  
mieszka podobno na drugim końcu Paryża.



FANNY.

Cóż to ma do tego? kocha cię, przyjdzie.  
(*słychać podwójne kłaśnięcie za sceną pod oknem?*)

LEONIDA. (*d. s.*)

Ah!

FANNY. (*d. s.*)

Oh jak musi być przyjemnie natchnąć podobną miłością! ja nigdy nie będę tak szczęśliwą! ja także kocham kogós; ale jestem tak nie doświadczona, że wolałabym umrzeć aniżeli pozwolić mu dostrzedz cósokolwiek we mnie... Co za szkoda że nie wychowano mię tak jak Leonidę. (*słychać lekki szelest oszyby*)

LEONIDA.

Ha!

FANNY.!

Co ci to?

LEONIDA.

Nic, nic.

PANI DE PRANGY. (*za sceną*)

I cóż Moście panny?..

LEONIDA.

O nieba! mama.

PANI DE PRANGEY.

Czy jeszcze nie poszłyście do swoich pokojów?

LEONIDA.

Mamo, kończymy przebranie.

FANNY.

Ale uważaj, ty kłamiesz.

LEONIDA. (*cicho*)

Byłyśmy niebaczne; należało ukryć świecę.  
(*ukrywa ją*) Dobra noc mamo, już idziemy spać.  
(*noc*)

PANI DE PRANGEY.

Dobra noc moje dzieci.

FANNY.

Ah jakżem się bała! ta dobra ciocia bardzo łatwowierna!

LEONIDA. (*idąc do drzwi pokoju pani de Prangey*)

Już się położyła. (*wracając do Fanny*)

LEONIDA

Jesteśmy wolne, i możemy rozmawiać.. ale ciszej.

FANNY. (*chcąc odéjść do swego pokoju*)

Oh nie!.. pójdźmy, mnie się chce spać.

LEONIDA. (*zatrzymując ją*)

Mam ci jeszcze tysiąc rzeczy powiedzieć.

FANNY. (*złośliwie*)

Nie.. to nie to... ty chcesz wiedzieć czy pan Ernest ...

LEONIDA.

Co za myśl! wiesz dobrze, że to być nie może... moja kochana Fanny, pomówmy jeszcze chwilkę. (*szelest o szyby*)

FANNY. (*zadziwiona*)

Ah! słyszysz?

LEONIDA. (*udając jakby nie słyszała*)

Cóż takiego? (*szelest mocniejszy*)

FANNY.

Słyszałaś?

LEONIDA.

Nie.. grad zapewne.

FANNY. (*idąc do okna*)

Aha! tak grad!.. piasek o szyby... (*szelest*)  
Słuchaj.

LEONIDA.

Co to być może?

FANNY.

Eh! ty wiesz, że to Ernest z twoim bukietem... założyłabym się prawie.

LEONIDA. (*z radością wstrzymywaną*)

Ah Boże! czy można... co za nierozwaga!

FANNY. (*żywo*)

Nierozwaga! powiedz raczej co za miłość!

Pójdę okno otworzyć, wszak dobrze? (*postępuje krok*)

LEONIDA. (*zatrzymując ją*)

Na cóż?

FANNY. (*idąc do okna*)

Aby ci rzucił bukiet.

LEONIDA. (*zatrzymując ją*)

Nie, to nierostropnie, nieprzyzwoicie... może jeszcze wszyscy nie śpią.

FANNY. ★

Ale pomyśl tylko, że on jest tam, że dla ciebie przybiegł miłą drogą, przelazł przez mur wysoki, kratę...

#### SPIEW NRO 4.

Jako, przez ciebie wezwany,

Gardząc wszelkimi przeszkody,

Przybywa swojej kochanej

Złożyć przyjaźni dowody.

Wdarł się mimo liczne straże,  
Maż teraz z niczém odchodzić?  
Wszakże kto komu przyjsć każe,  
Powinien czémsiś nagrodzić.

Powiedz mu przynajmniej co bądź. (*idzie do okna*)

LEONIDA. (*wstrzymując ją*)

Fanny!

F A N N Y.

Ah, jeżeli nie chcesz...

LEONIDA. (*po chwili wahania się*)

Nie powiedziałam; ale... bo... otwórz więc cicho.

FANNY. (*otwierając*)

Tak! (*mały bukiet rzucony zewnątrz, wpada do pokoju, Fanny go podnosi z radością*)  
Oto jest, oto twój bukiet, zachował go, byłam tego pewną. No cóż, czy dobrze?

L E O N I D A.

Ah Boże! tak, tak.

F A N N Y.

Sądzę, że mu to wynagrodzisz, w zamianę daj mu bukiet, który miałaś dziś w wieczór; to drobnostka, a w istocie zasługuje na nią.

LEONIDA :

Nigdy!

FANNY.

Dla czego?

LEONIDA.

Tak się nie czyni; ten, otrzymał tylko sposobem przywłaszczenia. Młoda osoba nigdy nie oddaje dobrowolnie.

FANNY.

Ah, jeżeli to nazywasz wspaniałomyślnością... A więc, kiedy nie chcesz mu dać swojego bukietu, ja rzucę mój, będzie myślał że to podarunek od ciebie. (*bierze swój bukiet z kanapy*) Ponieważ są prawie takie same... Co?... śmiejesz się?... śmiejesz. (*szuca bukiet przez okno*) Tak jakbyś ty go rzuciła.

ERNEST. (*za sceną*)

Dziękuję ci! dziękuję, kochana Leonido, twój na wieki!

LEONIDA.

Trzpiocie, cóżeś uczyniła?

FANNY.

Szczęśliwego, i małym kosztem:

LEONIDA

Zamknij prędko, zamknij teraz, proszę cię.



FANNY.

Dobrze. (*zamyka okno*) Mów co chcesz, ale znowu ci wyświadczylam przysługę... (*Leonida podaje jej rękę*) Wszystko było dobrze; wszyscy jesteśmy zadowoleni; teraz idźmy spać. (*kiedy chcą wchodzić do pokoju, słycać wystrzał*) Boże!

LEONIDA.

Wystrzał! ah! ledwo żyję! spostrzeżono go... będą nas mieć w podejrzeniu, będziemy skompromitowane! Oh mój Boże, mój Boże! a to z twojej przyczyny.

FANNY. (*idzie podsłuchiwać do drzwi w głębi*)

Cicho! słuchaj.. ktoś idzie. (*słuchają obie*)

LEONIDA.

Ah tak, idą. Prędzej do naszych pokoi.

FANNY. (*zatrzymując ją*)

A więc nie myślisz o...

LEONIDA.

O czém?

FANNY.

Jakto o czém?.. o panu Erneście, a jeżeli do niego strzelono?

LEONIDA.

Pójdźże, pójdź, czy chcesz aby nas tu zobaczyli? (*ciągnie Fanny*)

FANNY.

Nie pojmuję cię, młody człowiek, którego kochasz... *(wchodzą razem do pokoju Leonidy)*

## SCENA V.

ANUSIA. *(ze świecą)* BERTRAND, KILKU SŁU-  
ŻĄCYCH, ODŹWIERNY *(z latarnią, potem)* PANI  
DEPRANGEY. DESORMES, *(a nakoniec)*

RAJMUND.

ANUSIA.

Oh Boże co za wypadek! *(do Bertranda)*  
Ah to ty Bertrandzie.

BERTRAND.

Ja sam, dzięki Bogu.

ANUSIA.

Jakże się cieszył..A więc mordercy chybili,  
nie odebrali ci życia?

BERTRAND.

Nie, bo to ja strzeliłem.

ANUSIA.

Wszystko jedno, zawsze mógłbyś zginąć.  
Zapewne mieli sztylety. Wielu ich było?

BERTRAND.

Ja tylko jednego widziałem.

ODŹWIERNY. *(stojąc po lewej roznawiał z innymi służącymi, odwracając się prędko)*

Jednego...pan śmiesz mówić jednego?

A N U S I A

Powiedz Bertrandzie, powiedz coś widział...

Cicho, pani.

PANI DE PRANGEY. *(wchodzi ostrożnie)*

Ah dzięki niebu! to moi ludzie, myślałam że złodzieje aż tu się dostali. *(Desormes wchodzi)* Ah mój bracie, przybywaj, czy wiesz co się stało?

D E S O R M E S.

Uspokój się sestro, dla tego tylko tu przyszedłem ażeby cię uwolnić z obawy. *(śmieje się)* Ten tchórz Bertrand pewno się cienia swojego przestraszył. Idę w zakład, że niktogo nie widział.

O D Ź W I E R N Y.

Nikogo, przepraszam, otworzyłem furtkę w bramie...

D E S O R M E S. *(żywo)*

I zobaczyłeś ludzi?

O D Ź W I E R N Y.

Nie, kabriolet o pięćdziesiąt kroków ode mnie.. dom jest otoczony...

DESORMES.

Otoczony, zapewne niewidzialnemi ludźmi  
(do *Bertranda*) Do kogożeś strzelał?

BERTRAND.

Do człowieka.

DESORMES.

Jako? włazł do ogrodu?

ODŹWIERNY.

Rzecz całą porozumiałem. Gdy mój syn  
Jakóbek powiedział mi że w kabrjolecie jest  
tylko żokej śpiący, powiedziałem: tak, tak  
zwykle żokej śpiący! on jest zabity, a zło-  
dzieje po kabrjolecie dostali się na mur.

DESORMES.

Dla zaspokojenia was, pójdźmy...

PANI DE PRANGEY.

Dziękuję ci mój bracie.

DESORMES.

Ale ja nie o tobie mówię (*Rajmund wcho-  
dzi*) pójdę z Rajmundem który jak każdy wa-  
leczny przybywa na odgłos broni.

## SCENA VI.

BERTRAND, ODŹWIERNY, RAJMUND, DESOR-  
MES, PANI DE PRANGEY, ANUSIA.

RAJMUND.

Cóż się stało?

D E S O R M E S.

Pójdź; opowiem ci w drodze.

PANI DE PRANGEY.

Lecz ja nie chcę abyście się narażali...

D E S O R M E S.

Bądź bez obawy, pójdziemy uzbroić się.

PANI DE PRANGEY.

Ja się zamknę w moim pokoju przez czas waszej wyprawy.

R A J M U N D.

Bardzo dobrze pani uczynisz.

D E S O R M E S.

Szcęściem że nasze pańny nic nie słyszały. Jak się to śpi w tym wieku!

RAJMUND. (*n. s.*)

Tak, ale czasem zbyt się czuwa w tym wieku. Szczególna!..to okno otwarte przed chwilą.

D E S O R M E S.

Idźmy, Rajmundzie, idź po broń, tu jest zejście powszechne, tu się zbierzemy. (*wszyscy wychodzą*)

## SCENA VII.

LEONIDA, FANNY. (*wychodzą ostrożnie z pokoju*)

L E O N I D A.

Nie ma nikogo.

FANNY. (*placząc*)

Widzisz że do niego strzelili...on jest rani-  
niony, a może zginął dla ciebie.

LEONIDA.

Co za myśl!

FANNY.

Ah nigdybym się nie pocieszyła, ja stałam  
się tego przyczyną. Co za nieszczęście.

LEONIDA.

Ale nie, nie; Bertrand jest tak niezręczny.  
Ernest odjechał, nic się nie domyślają, pójdź,  
pójdźmy spać.

FANNY.

Ale powiadam ci że ten którego kochasz  
nie odjechał, ponieważ jego kabriolet jeszcze  
stoi.

LEONIDA. (*niewiele przestraszona*)

Boże! prawda, może go pochwycą.

FANNY. (*prędko*)

Pochwycą go mówisz? Powinnaś go ocalić  
trzeba zejść, tak, tak, przyprowadzić go tu i  
ukryć.

LEONIDA.

Zmysły tracisz Fanny, iść szukać w nocy  
młodego człowieka.



FANNY.

To nie jest młody człowiek, to jest ktoś  
którego zabić mają.

LEONIDA.

Ale tu wcale nie ma o t<sup>ę</sup>m mowy.

FANNY.

Tak, tak, może utracić życie.

LEONIDA.

Może zgubić moją reputacją.

FANNY. (*biorąc ją za rękę*)

Ah, ty na prawdę wahasz się?..

LEONIDA.

Stale postanowiłam nie wyjść ztąd ani na  
krok.

FANNY.

A więc dobrze! ja, dla której on tu nie  
przyszedł, która go nie kocham, ja pójdę,  
tak, natychmiast.

LEONIDA.

Ale Fanny, posłuchaj mnie.

FANNY.

Nie. (*sluchając*) Słysz<sup>ę</sup> powracających, bę-  
dą go szukać, znajdą może. Tylko chwila cza-  
su, biegnę. (*wybiega prędko*)

## SCENA VIII.

LEONIDA. (*sama*)

Słuchaj Fanny! co za głowa!.. Jednakże chciałabym z całego serca mu dopomódz; ale zejść w nocy, wystawić się!.. nigdy, nigdy!  
(*wchodzi do swego pokoju*)

## SCENA IX.

RAJMUND. (*z dwoma pistoletami w ręku*) DESORMES. (*z fuzją*) ANUSIA, BERTRAND I INNI. (*dziwacznie uzbrojeni*) PANI DE PRANGLEY (*w pokoju*) LEONIDA. (*w pokoju*)

DESORMES.

Dobrze, wszyscy jesteście. Zaczniemy wojnę z wszystkimi krzakami ogrodowymi. Do ogrodu, marsz! (*widząc Anusię*) Anusiu, i ty idziesz z nami, co za odwaga!

ANUSIA.

Odwaga! nie panie, to obawa, bo musiałabym sama zostać.

DESORMES.

Rozumiem, marsz! Ty Rajmundzie, będziesz formował arjergardę.

(*wszyscy wychodzą, Rajmund zostaje.*)

## SCENA X.

RAJMUND. (*sam*)

Nie to niebezpieczeństwo czyni mię niespokojnym, ale co moją obawę obudza, to to, aby się dowiedzieć dla czego okno było otwarte jeszcze przed wystrzałem... (*mówiąc do siebie*) Ale cóż mi do tego? Gdybym nie był tyle szalonym, i nie pokochał tej młodej dziewczyny, nie byłbym uważał na otwarte okno; ale tém samem uniknął podejrzeń... śmiesznych! Śmiesznych! niech i tak będzie, a jednakże obudziły się w mojej duszy, próżno staram się je wygładzić; są tu. Ale idźmy za niemi. (*chce wyjść głębią*) Nie myślę się, ktoś tu idzie ostrożnie. Ah lękam się dowiedzieć więcej, aniżeli pragnę. (*usuwa się na prawo ku drzwiom pani de Prangey. Fanny wchodzi prowadząc Ernesta ranionego w rękę*)

## SCENA XI.

ERNEST, FANNY, RAJMUND. (*w głębi*)

FANNY.

Tedy, pójdź, nie obawiaj się; już jesteśmy na miejscu.

RAJMUND. (*zdziwiony*)

Fanny z młodym mężczyzną! Ah, to mię przynajmniej uleczy z mojego szaleństwa.

ERNEST.

Jakże ci mam podziękować pani!

FANNY.

Jak chcesz... ale muszę pana ocalić, ponieważ cię ścigają.

ERNEST.

Dzięki ci pani, wymknąłem im się gładko. Ukryłem się pod krzak nie wiem czego; otoczony ze wszech stron, byłbym zginął niezawodnie, gdyby nie jej wybieg, równie prędki jak zręczny, który zmieniając stanowisko nieprzyjaciela, dozwolił mi jakby cudem uniknąć jego pogoni.

FANNY.

Jeszcze niebezpieczeństwo nie minęło, odbywszy krwawą utarczkę z ogrodem, może tu powrócą.

ERNEST.

Gotowi to uczynić. Co za szaleńcy! ale gdyby cię ze mną zobaczono;.. już pani i tak dosyć się narażałaś.

F A N N Y.

Cóż to szkodzi?

E R N E S T.

Zbyt dobra w istocie; ale ja nie mogę zezwolić na ocalenie się takim kosztem.

RAJMUND. (n. s.)

Mnie się nie wymkniesz.

FANNY. (ze strachem)

Ale kiedy panu powiadam, że muszę cię ztąd wyprowadzić.

ERNEST. (nacierając sobie rękę)

Głupio jest spaść z muru, i jeszcze z tej strony, żeby przynajmniej na ulicę.

F A N N Y.

Czekaj, zawołam Leonidy, ona ma wszystkie klucze... jakzeby mogła się jeszcze namyślać? (idzie do drzwi pokoju Leonidy i puka)  
Leonido! to ja!

## S C E N A XII.

CIŻ i ANUSIA. (wchodząc głębią)

ANUSIA. (d. s.)

Ah mój Boże! to panienska i jakiś mężczyzna z nią.

ERNEST. (*całując rękę Fanny*)

Ah ty jesteś Aniołem!

A N U S I A. (j. w.)

Zbójca ją wrękę całuje.

F A N N Y.

Czekaj mię, powrócę...

(*Leonida otwiera drzwi, porywa Fanny za rękę i wprowadziwszy ją do siebie, zamyka.*)

R A J M U N D.

Już ona go nie zobaczy.

ANUSIA. (*odwracając się*)

I pan Rajmund jest tu, widział także zbójcę. Tak, tak, zbójca, złodziej... albo kochanek, nic innego. Biegnijmy uwiadomić pana Desormes. (*wychodzi do ogrodu, ciemno zupełnie*)

## S C E N A XIII.

RAJMUND, ERNEST. (*potem*) BERTRAND.

E R N E S T.

Przekłête zdarzenie! (*dotykając się ręki*) Do kata! chciałbym już tu nie być.

RAJMUND. (*zblizywszy się do niego*)  
Wierzę temu bardzo.

ERNEST. (*odwracając się żywo*)  
Kto tu?.. tam do licha!



RAJMUND. (*porywczo*)

Co tu czynisz?

ERNEST. (*zmieszany*)

Co ja tu czynię? Mościpanie... na honor byłbym w wielkim kłopotcie, gdybym chciai na to powiedzieć.

R A J M U N D.

Odpowiadaj.

ERNEST. (*zniecierpliwiony*)

Eh! odpowiedz ty sam... Kto jesteś, czy masz prawo pytać mię?

R A J M U N D.

Przybieram je, mieszkam w tym domu.

ERNEST. (*wesoło*)

Chciałbym być na pana miejscu.

R A J M U N D.

Ponieważ...

E R N E S T.

Ponieważbym wiedział drogę którędy wyjść. Ale pan musisz być panem Rajmundem, tym poważnym młodzieńcem, który grał tego wieczora w warcaby zamiast iść na bal; młodzieńcem bardzo szczęśliwym, którym się panny zajmują nawet w czasie tańca.

R A J M U N D.

Cóż to, żarty?

E R N E S T.

¶ Cokolwiek.

RAJMUND. (*porywając go za rękę*)  
Mości panie...

E R N E S T.

Ah powoli, bardzo proszę... (*śmiejąc się*) Ta ręką jest rasiona, zguieciona, nie może uledez jego grzecznemu obejściu.

R A J M U N D.

Jeżeli nie jesteś tchórzem będziesz bił się ze mną. (*Ernest przyzwala*) W tej chwili.

ERNEST. (*wzrusza głową śmiejąc się*)

Tchórzem nie jestem, ale w tej chwili bić się nie będę, niepodobna!

R A J M U N D.

Ah niepodobna! przykro mi, ale...

E R N E S T.

Mnie jeszcze bardziej przykro, ale tylko prawą ręką bić się umiem; a widzisz pan że pomimo najszczerzej chęci niezdolna jest w tej chwili trzymać szpadę lub pistolet. Później, spodziewam się...ale teraz...Jeżeli pan jesteś człowiekiem uprzejmym, oczem nie wątpię, dopomożesz mi ująć bacności szukających (*ciszéj*) przez wzgląd na reputacją młodej panienki.

R A J M U N D.

Ah prawda w moim gniewie zapomniałem...  
ale nie wiem gdzie, chyba że pana do siebie  
zaprowadzę. (*słychać wystrzał w ogrodzie*)  
Ah!

BERTRAND. (*za sceną*)

Upadł, upadł teraz.

R A J M U N D.

Czy pan nie sam byłeś?

E R N E S T.

Oh w takiej wyprawie nie używamy sekun-  
danta, zapewne strzelono do mojego płaszcza  
który się zaczepił na murze, i który właśnie  
był przyczyną mojego upadku. Ah, nadcho-  
dzą, zobaczą mię, a jeżeli panu zależy na o-  
caleniu jego ofiary...

R A J M U N D.

Już nam przecięli drogę do mojego poko-  
ju. Czekał, wstrzymam ich chwilę, ukryj się  
tam, za tym obrazem. przyjdę tu. (*odchodzi  
w głąb, Ernest ukrywa się za obrazem*)

## SCENA XIV.

ERNEST. (*ukryty*) FANNY: (*otwierając drzwi  
pokoju Leonidy*)

F A N N Y.

Ah mój Boże! jeszcze jeden wystrzał!..  
Drzę cała! już go nie ma.

ERNEST. (*pół głosem pokazując się nad obrazem*)

Jestem jeszcze.

FANNY. (*z radością*)

Ah tém lepiej, nic mu się złego nie stało. Ale pan nie możesz tu zostać, widać panu nogi. (*idzie prędko ku niemu*)

ERNEST.

A więc, podaj mi pani sposób oddalenia się.

FANNY.

Niepodobna, Leonida nie ma kluczy.

ERNEST.

Ah do kłata!

FANNY.

Co tu począć? znajdą pana.

ERNEST.

Jeżeli przyjdą a ja tu zostanę, nie ma wątpliwości! Oh to. małe nieszczęście, zostaw mię pani mojemu losowi, i oddal się.

FANNY. (*nie wiedząc co czyni, bierze go za rękę*)

Ale oni pana zabijają, zabijają! Oh mój Boże! gdzie go ukryć? gdzie go tu ukryć?..i nic, nic, ani jednego miejsca.. ah tak wejdź pan tu...(*wpycha go do swojego pokoju*) Tam bez

zwłoki! (*zamyka drzwi, i chce wyjść gdy spostrzega Rajmunda*) Ah pan Rajmund! (*kryje się za obraz*)

## SCENA XV.

FANNY, (*ukryta*) RAJMUND. (*potém*) DESORMES, ANUSIA, PANI DE PRANGEY, LEONIDA, BERTRAND, SŁUŻĄCY.

RAJMUND. (*wbiega prędko i obracając się ku obrazowi, mówi cicho i szybko*)

Mościpanie, udało mi się oddalić ich, nie trać ani chwili, prędko na kurytarz i na drugie piętro...(*idzie za obraz i postrzega Fanny*)  
Ah!

DESORMES. (*za sceną*)

Daléj naprzód, tchórze boją się...(*do Rajmunda, wchodząc*) Wszakże nie ma nikogo Rajmundzie?

RAJMUND. (*zastaniając Fanny*)

Nie...zupełnie...nikogo...

DESORMES. (*postrzegając Fanny*)

Fanny! ah i ona także należy do wyprawy przeciw złodziejom?

FANNY. (*drżąca*)

Słyszałam hałas...byłam tak przestraszona ..  
wstałam...Cóż to jest mój Waju?

DESORMES.

Nic, nic, moją dziewczynę.

RAJMUND: (*żywo, n. s.*)

Udaje niewiadomość... Ah kłamstwo!

PANI DE PRANGEY. (*otwierając drzwi*)

Bracie!

DESORMES.

Pani de Prangey, teraz...

PANI DE PRANGEY.

Proszę was, jeżeli jest młody nie czyńcie  
mu nic złego, może się poprawić.

DESORMES.

Kto?

PANI DE PRANGEY.

Zbójca!

DESORMES.

Bądź spokojną moja siostrze, uciekajcie mu nie bę-  
dzie na moje słowo, ha, ha, ha.

LEONIDA. (*ukazuje się*)

Co to jest? co się stało?

DESORMES.

Leonida!..no już nikogo nie brak, tém le-  
piej, wydam tedy rozkaz aby wszyscy poszli  
spać.



PANI DE PRANGEY.

Ale powiedz mi przynajmniej bracie, co to znaczy?

D E S O R M E S.

To znaczy że odtąd nie pożyczę już mojej fuzji głupiemu Bertrandowi. Dalej, proszę mi być posłusznemi. — Dobra noc! (*wychodzi ze służącemi*)

PANI DE PRANGEY.

Dobra noc, Bóg wie jak ją przepędzę po takim wzruszeniu. (*do Leonidy i Fanny*) Moście panny do swoich pokoi.

L E O N I D A.

Dobrze moja mamo, odchodzę. (*wchodzi do swojego pokoju*)

FANNY. (*n. s.*)

Ale ja co teraz uczynię, oh pójdę do Leonidy. (*w chwili kiedy pani de Prangey wchodzi do swojego pokoju, Anusia zbliża się do niej i mówi z cicha*)

A N U S I A.

Jutro pani coś powiem.

PANI DE PRANGEY.

Jutro, lepiej zaraz.

FANNY. (*n. s.*)

Ale go nie znaleźli.

PANI DE PRANGEY. (*wpuszcza Anusię do swojego pokoju, i odwraca się do Fanny*)

No, spiesz się Fanny!

FANNY. (*niby odchodzi, ale kiedy pani de Prangey zamknęła swoje drzwi, ona zamyka na klucz drzwi swojego pokoju, i idzie pukać do pokoju Leonidy.*)

Leonido... Leonido... to ja!.. ah mój Boże! chciałażby mię tu zostawic?.. Leonido... Leonido... (*puka i woła, kiedy zastona spada*)

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

## AKT II.

(Dekoracja też sama.)

### SCENA I.

FANNY. *(sama, za podniesieniem zasłony 'spi-  
na kanapie, marzy)*

Leonido.. Leonido... otwórz mi... nie chcesz...  
to pięknie z twojej strony.. kiedy dla ciebie...  
*(budząc się nagle)* Ah!.. gdzież jestem?.. ja...  
to, na kanapie, w tym salonie!... ah tak... za-  
pomniałam... wczoraj.. ten młody człowiek  
tam zamknięty! *(z przestrawem)* Boże! *(wsta-  
je)* Nie ma ani chwili do stracenia; co za  
szczęście, żem się najpierwsza obudziła! *(bie-  
gnie do drzwi swojego pokoju, otwiera je  
kluczem, Desormes wchodzi z cicha i uderza  
ją lekko po ramieniu)*

### SCENA II.

DESORMES, FANNY, ERNEST.

FANNY. *(przełęta i zdziwiona)*

Ah! mój wuj! *(odbiega szybko odedrzwi tak*

że Desormes staje w jej miejscu, ale odwrócony tyłem do pokoju, gdzie jest Ernest)

ERNEST. (otwiera drzwi, lecz spostrzegłszy pana Desormes)

Tam do diabła! ktoś jest. (cofa się i lekko drzwi zamyka)

DESORMES. (śmiejąc się)

Ah.. ah... a to co? czy moja postać dziś przestrasza?

FANNY. (zszczerością i zmieszana)

Nie, mój wuju, nie... tak jak zawsze.

DESORMES.

Dziękuję za grzeczność.

FANNY.

Eh! mylisz się kochany wuju; chciałam powiedzieć, że widzę w tobie zwyłą dobroć i pobłażanie.

DESORMES.

Ah to już lepiej; ale na osobę, która była na balu, wstałaś zbyt wcześnie.

FANNY.

Oh! bal mnie nie usypia.

DESORMES.

Wspomnienie walca, galopady, zapewne cię przebudziło tak rano.

FANNY. (*roztargniona*)

Mylisz się mój wuju... bo ja nie... ale ty...  
wiem teraz dla czego tak rano wstałeś... za-  
pewne idziesz do twoich kwiatów... obawiasz  
się, czyli czasem niezręczna stopa nie uszko-  
dziła ich podczas pustot dzisiejszej nocy.

D E S O R M E S.

Nie, bynajmniej; przychodzę po dzienniki.

FANNY. (*prędko*)

Jeszcze nie nadeszły.

D E S O R M E S.

Ah!

FANNY. (*n. s.*)

Co za szczęście! zabrały się do czytania,  
nie mogłabym go oddalić.

D E S O R M E S.

Muszę więc zaczekać na nie. (*Fanny się  
gniewa*) Spóźniły się bardzo... Będę korzy-  
stał z tej okoliczności, i dam pannie Fanny  
nauczkę.

FANNY. (*strwożona*)

Mnie, mój wuju?

D E S O R M E S.

Tobie... może ona będzie bardzo w porę...  
co mówisz?

FANNY. (n. s.)

Boże! czyliżby wiedział?

DESORMES. (grożąc jej palcem)

Pamiętaj moja Fanny. (uśmiechając się)

Ale nie lękaj się bardzo.

FANNY. (n. s.)

Nic nie wiedzą.

DESORMES.

Ja tylko chcę pomówić z tobą.

FANNY.

Ile ci się podoba, ale w ogrodzie.

DESORMES. (patrząc w okno)

Co?... deszcz będzie padał...'

FANNY.

Wźmiemy parasol.

DESORMES.

Aha! domyślałam się, zapewne mi przygotowałaś jaką supryzę; ale nie, postanowiłem, musisz mię naprzód wysłuchać.

FANNY. (idąc do okna)

Ah mój Boże! patrz kochany wuju, wiatr przewrócił mój piękny krzew pomarańczowy; ten, który od ciebie dostałam. Ah pójdź, pójdź mi pomóż podnieść go.



DESORMES.

Dobrze... pójdę podnieść krzew pomarańczowy, ale dla tego musisz dostać moralną naukę.

## SCENA III.

ERNEST. (*potém*) LEONIDA, ANUSIA.ERNEST. (*uchylając drzwi*)

Ab przecię mój anioł opiekuńczy oddalił swojego czcigodnego wuja. Uciekajmy, ale którądy: a jeżeli zbłądzę, i zamiast wyjść, wejść do pokoju matki mojej Leonidy... byłoby prawdziwie dramatyczne spotkanie. To ta przeklęta mania sentymentalności; oh jeżeli mię jeszcze złapią!... (*ogląda się*) Okno!.. gdzie wychodzi?.. do ogrodu... gdybym obrał tę drogę?.. (*idzie do okna*) Ha!.. mój kabriolet za murem... ten biedny Tom czeka wciąż... idźmy... (*chce odsunąć*) Aj! zapomniałem, że mam tylko jedną rękę, niepodobna... prócz tego 25 stóp... Inna myśl, napiszę bilecik do Leonidy, aby ją uwiadomić o mojem przykrém położeniu, Tom jej doręczy... (*wydziera kartkę*)

z pugilaresu i pisząc ołówkiem kilka wierszy)  
tak...*(do okna)* Pst...pst...Tom...słuchaj..tak,  
to ja... głupiec, zdejmuję kapelusz zamiast  
przybliżyć się. *(dookna)* No cóż! czy przyjdiesz tu bliżej? ten bilecik oddasz gardero-  
bianie dla jej młodej pani, rozumiesz?.idź!..  
*(zamyka okno)* Tym czasem, poszukajmy, gdy-  
by tędy...*(Ernest zbliża się do drzwi pokoju Leonidy, chce je otworzyć Leonida wchodzi)*  
Leonida!

L E O N I D A.

Ernest tu!

ERNEST. *(biegnąc do niej)*

Ah dobrze żeś tu przyszła, w tobie moja nadzieja.

L E O N I D A.

Proszę na mnie wcale nie liczyć, wychodź pan, wychodź prędko.

E R N E S T.

Tego tylko pragnę...

L E O N I D A.

Czegóż pan czekasz?

E R N E S T.

Abyś mi pani drogę wskazała.

L E O N I D A.

Ja!..więc chcesz mię zgubić?

E R N E S T.

Nie, ale chciałbym się sam ocalić, Leonido, jedno słowo.

L E O N I D A.

Gdyby nas dostrzeżono, to nieprzyzwoicie, mogą mię zobaczyć mówię, żegnam cię. (*oddała się prędko drzwiami w głębi*)

E R N E S T.

I zostawia mię, grzecznie z jej strony! Co tu począć teraz? wściekam się, tak wściekam się i sprawiedliwie... Albowiem... to jest.. ja nie wiem czy sprawiedliwie... mówiła: gdyby nas dostrzeżono!... to przynajmniej zapowiada głęboką roztropność. Nie mogę tu spodziewać się tych wzniosłych poświęceń do których jestem przyzwyczajony... rozważywszy więc dobrze...

ANUSIA.. (*w pokoju pani de Prangey*)

Ale tak jest pani, młody człowiek.. jakbyś go pani widziała sama.

ERNEST. (*stuchając*)

Widziała! kogo? może mnie... Dalej do  
mojego ukrycia. Bóg wie jak się teraz ztąd u-  
wolnię. (*wchodzi do pokoju Fanny*)

## SCENA IV.

ANUSIA, potem RAJMUND.

ANUSIA. (*do kulis*)

Pójdę donieść panu Rajmundowi, że pani  
życzysz z nim mówić, i żebyzaczekał tu w sa-  
lonie. (*wchodząc na scenę*) Ha, wszystko po-  
wiedziałam.

RAJMUND. (*zamyślony, wchodzi i siada na  
kanapie*)

Ah gdyby można wmówić we mnie żem  
się omylił...że to było przywidzenie, sen; ale  
nie, na nieszczęście widziałem, widziałem.

ANUSIA. (*n. s.*)

Jaką ma twarz ponurą. (*głośno*) Panie...  
(*d. s.*) Cóż to? nie słyszy mię. (*głośno*) Pa-  
nie!

R A J M U N D.

Ah to ty Anusiu.

A N U S I A

Pani mi poleciła prosić pana abyś tu na nią zaczekał...ma się go zapytać o ważne rzeczy.

R A J M U N D.

Ah!

A N U S I A.

A pan nieledwie zgadujesz co to być może.

R A J M U N D.

Ja, nie.

A N U S I A.

Dajże pan pokój, kiedy się było świadkiem... jak my oboje, tej nocy...

R A J M U N D.

Czego?

A N U S I A.

Tego co pan wiesz dobrze.

R A J M U N D.

Ja, ja nie nie wiem.

A N U S I A.

Czyliż niewidziałam, jak naszapanna wzięła za rękę jakiegoś młodzika, i wprowadziła go z pośpiechem, w chwili kiedyś nadeszła, w chwili kiedyś pan sam, tak to pan byłeś, widziałeś tak dobrze jak ja...

R A J M U N D.

Ja bynajmniej.

A N U S I A.

Oh, patrząc na pańską krew zimną, nareszcie o sobie samej wątpić będę.

R A J M U N D.

Możebyś bardzo źle nie uczyniła.

A N U S I A.

Gdyby rzecz nie szła jeszcze o pannę Fanny!..a zresztą gdyby to pierwszy raz dała powód...

RAJMUND. *(n. s.)*

Oh Boże! *(wstaje zbliża się do Anusi)* Mówisz?..

A N U S I A.

Ale kiedy kto z takim upodobaniem maluje wojskowych...

R A J M U N D.

Wojskowych...Fanny!

A N U S I A.

Kiedy jej album jest niemi napełnione, niepodobna żebym się myliła, a ponieważ pan nie chcesz mówić... więc zobaczymy czyli sama nie zdołam wyjaśnić wszystkiego i wydać na jaw prawdy. *(wychodzi)*



## S C E N A V.

RAJMUND. (*sam*)

Biedna Faanny! czuję teraz że nie postrzegłszy się, pokochałem tę młodą dziewczynę, tak jak nigdy jeszcze nie kochałem... Miałbym poświęcić serce najlżejszemu...? ale ona była tak pociągająca, tak wesoła...tak godną przywiązania nawet w błędach swoich! mniemałem ją tak szczerą, ah szczerą!..kochała innego!..I cóż ztąd? byłaż obowiązana wyznać mi to? ale pokochać takiego głupca! Lecz wkrótce mam nadzieję jego lub moje życie...jednak co wtenczas Faanny!..Ah czuję że z tego serca które nie ma odwagi wygładzić jej pamięci, żelazo tylko wydrzeć ją zdoła.

## S C E N A VI.

RAJMUND, FANNY.

FANNY. (*przy drzwiach w głębi*)

Teraz ten biedny młodzieniec będzie mógł... (*idąc naprzód ku drzwiom swojego pokoju postrzega Rajmunda*) Ah! pan Rajmund! (*d. s.*)  
Gdyby nie był tak surowym sędzią, mógłby

mi dopomóżdź... zobaczmy. (*głośno*) Pa-  
nie...

RAJMUND. (*witając ją oziębło*)  
Pani!

FANNY. (*d. s.*)

Ah mój Boże! dziś jego twarz jeszcze po-  
ważniejsza jak zwykle; jednakże trzeba go od-  
dalić ztąd. (*wesoło*) Pan bezwątpienia chcesz  
się widzieć z moim wujem? zastaniesz go w o-  
grodzie.

RAJMUND. (*z westchnieniem*)

Pani jesteś bardzo szczęśliwą, nie nie mo-  
że zmienić jej wesołości.

FANNY.

Jak pan to mówisz... ah, masz coś przeci-  
wko mnie, widzę w twoich oczach. No, mów  
pan prędko, słucham. (*n. s.*) Jeżeli wie, o-  
szczędzi mi przykrości wyznania.

RAJMUND.

Nie mam prawa dawać ci pani nauki.

FANNY.

Ah pan często bez pozwolenia przybierasz  
je sobie, zawsze mnie łajesz, przyjmuję to

życzliwie, ponieważ pan łajesz bardzo przyjemnie. Ale w tej chwili masz postać jakąś posępną, która mię przestrasza.

RAJMUND. (*n. s.*)

Co za szkoda!

F A N N Y.

No, nie bądź pan tak zły, łaj mię, przyganiaj, ale nie bardzo, proszę.

RAJMUND. (*n. s.*)

Tyle ufności... tyle oddania się, a występna.

F A N N Y.

W istocie, jeżeli źle postępuję, to mimowolnie, nie wiedząc... oddałabym wszystko na świecie, aby nie zasłużyć na twoje wyrzuty panie.

RAJMUND. (*wzruszony*)

A ja, aby ci ich nigdy nie czynić... i kiedy słyszę twoją mowę pełną szczeroty, tyle słodczy przejmuję mię i rozbraja, i mimowoli, usprawiedliwiam cię; przebaczam wtenczas, kiedy każdy inny by cię potępił. Oh powinnaś mię uważać za człowieka nierozsądnego.

F A N N Y.

Jakto, ponieważ mię sądzisz cokolwiek łaj

skawiej jak zwykle? a to bardzo grzecznie; ale dla tego nie gniewam się na pana, na siebie raczej oburzać się powinnam, że cierpisz dla mnie, że nie mogę poprawić się z mojego sposobu postępowania. Jednak przyznasz mi, że wszyscy ludzie nie mogą być tak rozsądni, jak pan sobie wyobrażasz, i kiedy widzę, iż ganią rzeczy najprostsze, uczucia najnaturalniejsze... to mię gniewa i mimowolnie...

R A J M U N D.

Ale pani nie chcesz tego zrozumieć, że są pewne postęпки, które mają pozory tak uderzające, iż nawet człowiek, będący samem pobbłażaniem, nie może czasem wstrzymać się, aby ich występniemi nie sądził.

F A N N Y.

Występniemi!

RAJMUND. (*biorąc ją za rękę*)

Téj nocy.. kiedy wystrzał dał się słyszeć... przyszedłem tu i widziałem...

F A N N Y.

Jako... cóżeś pan widział?

R A J M U N D.

Młodą osobę... prowadzącą za rękę mężczy-

zue, i która starała się chcieć go usunąć przed oczyma wszystkich.

FANNY. (n. s.)

Dla Boga! jeżeli on sądzić będzie że to dla mnie pan Ernest... ah nie chcę, nie chcę.. (głośno) Panie Rajmundzie, chcę żebyś wiedział... tak trzeba... (n. s.) Co czynię? wszakże to jest tajemnica Leonidy, a ja dla własnego ocalenia nie potępię siostry.

R A J M U N D.

Ah powiedz, powiedz pani, zasługuję na ten dowód ufności z twojej strony.

F A N N Y.

A więc! zastanowiłam się; to byłoby niegodnie... nie mam prawa... nie mogę nic powiedzieć.

R A J M U N D.

Dosyć mi na tém; zaufania nakazać nie można.

FANNY. (n. s.)

Otóż mamy, przekonany jest... ah jakżem nieszczęśliwa! (głośno) Panie Rajmundzie, sądzisz mię występna, nie, nie jestem nią!.. to co ci się wydaje przewinieniem, jest jeszcze

błędem... lecz zbyt ważnym, ponieważ wzbudził w tobie wątpliwość względem mojego sposobu myślenia. Ale, jeźliby jaki nieszczęsnny pozór, ostudzał dla mnie życzliwe uczucia, i pozbawił mię pobłażania, w którym zawarłam całe moje szczęście, jeżeli już podejrzenie zamyka twoje łono, czekaj, czekaj jeszcze z wyrokiem, i pomnij, że pozory są często zwodnicze.

R A J M U N D.

W istocie.. pani... było mi bardzo boleśnie, ale gdybyś nawet w moich oczach była usprawiedliwioną, to jeszcze nie dosyć.

F A N N Y.

Jakto? co mówisz?

R A J M U N D.

Druga osoba: była świadkiem...

F A N N Y.

Któż?

R A J M U N D.

Służąca... i przed chwilą opowiedziała wszystko twojej ciotce.

F A N N Y.

Panie Rajmundzie... (n. s.) To mogę mu powiedzieć, to tylko mię wstydem okryje,



lecz w duszy będę spokojną. (*głośno*) Będziesz mnie jeszcze bardziej łajał... ale to nic nie szkodzi.

R A J M U N D.

Oh nie pani, mylisz się... teraz żałować cię tylko będę, mów...

F A N N Y.

Dowiedz się, że... (*postrzegając ciotkę*) Moja ciotka, powiódę... (*chce odejść*)

## SCENA VII.

RAJMUND, FANNY, PANI DE PRANGEY.

PANI DE PRANGEY.

Zostań Fanny. Cieszę się, że tu pana znajduję; powinienes być świadkiem tego, co mam Jmości pannie powiedzieć.

FANNY. (*n. s.*)

Co za twarz surowa! (*cicho do Rajmunda*)  
Ah panie Rajmundzie, prawdę mówiłeś przed chwilą.

PANI DE PRANGEY.

Anusia doniosła mi, że wczoraj w wieczór istotnie był tu ktoś.

F A N N Y.

Moja ciotko.. na doniesienie Anusi...

PANI DE PRANCEY.

Mamy jeszcze prócz tego inne świadectwo...  
i właśnie w tym względzie miałam prosić o  
objaśnienia pana Rajmunda.

R A J M U N D.

To napróżno, gdyż ja nie miałbym co po-  
wiedzieć...

PANI DE PRANCEY.

Byłam tego pewną, a więc wymagam od  
panny, natychmiast wyznania szczerego i  
zupelnego.

FANNY. (*n. s.*)

Boże! nie mogę obwinić Leonidy... (*głośno*)  
Moja ciotko, nie pytaj mię, błagam cię...

~~PANI DE PRANCEY.~~

A więc odmawiasz mi posłuszeństwa?

FANNY. (*z wzruszeniem*)

Nie mogę powiedzieć.

## SCENA VIII.

CIŻ i LEONIDA.

LEONIDA. (*wychodząc*)

Fanny z moją matką!

FANNY. (*do Leonidy, cicho*)

Wiedzą wszystko, ale bądź spokojną nie  
wymieniłam twojego imienia.

LEONIDA. (*do Fanny*)

Bardzo dobrze...ja to później ułożę.

FANNY.

Później!..oh zaraz, natychmiast.

PANI DE PRANGEY.

Leonido! co tu masz do czynienia? oddal się, napróżno wstawiałabyś się za twoją kuzynką, nie otrzymasz nigdy dla niej przebaczenia.

FANNY.

Przebaczenia!..dla mnie przebaczenie! Czyliż ja o nie błagam? czyliż ja potrzebuję przebaczenia?

## SCENA IX.

FANNY, LEONIDA, RAJMUND, DESORMES, PANI PRANGEY.

DESORMES. (*usłyszawszy ostatnie słowa Fanny*)

Tak mościa panno, potrzebujesz go.

FANNY.

Mój Wuj!..

DESORMES.

Milczenie! (*do pani de Prangey*) Siostro! nie wiesz jeszcze wszystkiego! jakiś młodzik skrycie wemknął się tu tej nocy; a podług zeznań wszystkich, niepodobna aby ztąd wyszedł. (*poruszenie ogólne*)

FANNY.

Nieba!

LEONIDA. (*cicho do Fanny*)

Jakto!

FANNY. (*cicho do Leonidy*)

Ah mój Boże! tak!

DESORMES.

Ah Fanny! jakżeś mię zwiodła!...będziesz najpierw ukarana, ale wprzód trzeba wynaleźć tego który zakłócił to ustronie; idę..

## SCENA X.

CIŻ i ERNEST. (*ukazując się nagle*)

ERNEST.

Pozwól mi pan oszczędzić mu pracy.

WSZYSCY.

W pokcju Fanny!

LEONIDA.

Co za nierostropność!

FANNY.

Chciałabym umrzeć.

ERNEST. (*postępuje naprzód kłania się i poprawia włosy*)

Nie lękajcie się panie.

RAJMUND. (*zbliżając się do Ernesta*)

Pamiętaj.

ERNEST. (*oddalając go ręką*)

Teraz nie z panem mam do czynienia. (*do Fanny*) Przebacz mi pani, moje ukazanie się może ci nieprzyjemne, z przyczyny... (*pokazuje pokój z którego wyszedł*) ale obwiniano cię i powinienem być. .

FANNY. (*n. s.*)

Piękny sposób uniewinnienia mię.

DESORMES. (*przystępując do Ernesta z gniewem*)

Mości panie..!

ERNEST. (*przerywając*)

Sprawiedliwie, pan mię nie znasz; jeden wyraz nada mojej wizycie wszelką pożądaną przyzwoitość, (*śmiejąc się, z przesadą*) Ernest de Chatenoy, 30,000 liwrów dochodu... chciałem mówić 29 z przyczyny przegranego zakładu o 1,000 liwrów, ten trzydziestkę cokolwiek zdekompletował, młodość, nadzieje w przyszłości, w przeszłości moich przodków, i chęć zostawienia potomków... (*ciągle kłania*

się zlekka) Otóż kto jestem, i co mię ośmie-  
liło przybyć aż tu złożyć wam moją prośbę  
o zezwolenie na związek małżeński.

DESORMES.

Na związek małżeński...ah! (n. s.) Jeden  
półgłówek...

ERNEST,

Tak jest panie.

FANNY. (do Ernesta)

Jeżeli dla tego się ukazałeś, to co inne-  
go...Ah jakże się cieszę. Widzisz tedy moja  
ciociu...

DESORMES. (do Ernesta)

Awięc pan o rękę mojej siostrzenicy...:

ERNEST.

Szczęśliwy jeżeli ją otrzymam!

PANI DE PRANGEY.

Pójdź za mną Leonido.

ERNEST.

Jakto pani zabierasz ją ze sobą..? nie po-  
zwolisz mi w przód...

PANI DE PRANGEY.

Do mojego brata niech się pan uda.

LEONIDA. (idąc za matką)

Boże! co pomysła o mnie jak się wszystko



wyjaśni. (*Pani de Prangey i Leonida wychodzą, Desormes odprowadza je do drzwi*)

ERNEST.

No i cóż! odebdzą!... ah rozumiem! przyzwoitość... wymagałyby zapewne aby ktoś był moim tłumaczem.

## SCENA XI.

FANNY, RAJMUND, ERNEST, DESORMES

ERNEST. (*do Rajmunda*)

Jesteś moim ojcem w tej chwili.

RAJMUND. (*d. s.*)

Ah, ponieważ to jest szczęście które ona sobie obrała. (*przechodząc do Desormes*) Panie Desormes!..

DESORMES. (*przerzywając*)

Dosyć tego, teraz kiedy mojej siostry tu nie ma, wszelkie grzeczności są zbyteczne. (*do Ernesta*) Wiem teraz kto pan jesteś, nazwisko stokroć zaszczytniejsze aniżeli jego postępek. Kiedy może być inaczej oddaję panu z wielkim żalem, i mimochętnie, rękę Fanny Beauclair i oto ją masz.

F A N N Y.

Moją rękę panu Ernestowi! Ale mój Wuj-  
ju...

D E S O R M E S.

Ani słowa.

E R N E S T.

Zaiste ofiarę tę uważałbym za niewypo-  
wiedziane szczęście, ale zachodzą małe prze-  
szkody. Pierwsza, że panna nigdyby na to  
nie zezwoliła.

D E S O R M E S.

Jakto? nie zezwoliłaby!

F A N N Y.

Ale tak jest mój Wuju, nigdy!

RAJMUND. (n. s.)

Co słyszę!

D E S O R M E S.

To już za wiele!

F A N N Y.

Przeciwnie, rzecz bardzo prosta. Czyliż się  
zaślubia tych których nie kochamy, i którzy  
nie proszą o to?

E R N E S T.

Tak jest, słuszna uwaga.

D E S O R M E S.

Co to znaczy?

ERNEST.

To znaczy, że pan jesteś w błędzie, że się mylisz w osobach, a przy ślubie to nie wszystko jedno; idzie tu bowiem o pannę Leonidę.

DESORMES.

Leonidę!

RAJMUND. (*d. s.*)

Boże!

FANNY.

Czy rozumiesz go teraz mój Wuju?

DESORMES.

Nie, tego nie rozumiem, jakim sposobem wychodzi się z pokoju młodej dziewczyny, a by prosić o rękę innej.

ERNEST.

Ah tak...pojmuję...podobne żądanie na pierwszy rzut oka może się wydawać szczególnem. To tylko szczerą prawdą, że panie Fanny winienem najtkliwszą wdzięczność, za ocalenie mi życia; ale panie Leonidzie winienem moją miłość, ponieważ ona dała mi nie jakie prawa do swojego serca.

DESORMES.

Prawa, prawa...Nie śmiałyś pan tego mówić bez dowodu, bo inaczej...

E R N E S T.

Jestem *trop galant* abym coś podobnego...  
Listy które zawsze mam przy sobie. (*oddaje*)  
W obecnym stanie rzeczy, nie będzie to nie-  
dyskrecją?..Wuj...i mąż w krótkce...

D E S O R M E S.

Co widzę! (*do Ernesta*) Czy to są pańskie  
dowody?

E R N E S T.

Myślę że jaśniejszych nie potrzeba.

D E S O R M E S. (*pokazując list Fanny*)

Czy znasz to pismo?

F A N N Y. (*zdumiała*)

Tak, moje.

E R N E S T.

Twoje...a to jest oryginalnem.

R A J M U N D.

Pisałaś więc pani za kogo innego?

F A N N Y.

Musiałam...pan oczekiwał odpowiedzi...Mia-  
no rękę skaleczoną...zranioną...użyto mojej.  
Zbłądziłam, widzę; ale jeden wyraz Leonidy  
wszystko wyświeci.

D E S O R M E S.

Trzeba natychmiast objaśnić tę wątpliwość.

(zbliżając się dopokoju pani de Prangey) Sio-  
stro, Leonido!

FANNY. (n. s.)

Oh teraz mogę być spokojną!

## SCENA XII.

RAJMUND, ERNEST, DESORMES, PANI PRAN-  
GEY, LEONIDA, FANNY.

DESORMES. (do Leonidy)

Leonido, przybliź się...Oto są listy odbie-  
rane przez tego pana...czy ty dyktowałaś je..?

LEONIDA. (n. s.)

Co tu czynić? (głośno) Panie, jeżeli w i-  
stocie, o czém nie powinnam wiedzieć, masz  
jaką skłonność ku mnie, i czynisz mi ten  
zaszczyt że prosisz rodziców o moją rękę, bę-  
dę posłuszną ich rozkazom. Ale jestem pe-  
wną, że nie sądzisz ażeby młoda osoba umie-  
jąca się szanować, mogła być zdolną do pi-  
sania listów któreby mogły narazić jej dobrą  
sławę.

FANNY. (n. s.)

Oh...będą myśleć...

PANI DE PRANGEY. *(do Ernesta)*

Rozumiesz pan...

ERNEST.

Doskonale. A jednakże chciałbym wiedzieć komu miałem szczęście podobać się.

DESORMES.

Mości panie, to mię gniewa.

ERNEST.

Za pozwoleniem, porozumiejmy się nieco. Popełniłem błąd, ale komuż mam wynagrodzić moje przewinienie?

LEONIDA. *(n. s.)*

Boże! matka, mój wuj, dowiedzą się...ten tylko mam sposób...*(osłabiona idzie do kaptura)*

PANI DE PRANGEY. *(biegnąc do niej)*

O nieba! moja córka zemdlła!

FANNY. *(n. s.)*

Dla czegoż tajemnica!

PANI DE PRANGEY. *(do Ernesta)*

Zaledwo się wstrzymać mogę, śmieszcie pan dla ocalenia występnej, ah to zgroza!

ERNEST.

Ale pani...



DESORMES.

Dwa słowa, bezkarnie nie przepuszczę takiej obrazy całej rodziny. (*do Fanny*) A ty, coś przyćmiła honor, tego wieczora wyjedziesz.

FANNY.

Wielki Boże! Wuju...

DESORMES.

Niema przebaczenia.

FANNY.

Ah! wypędzać mię, a nikt nie będzie wiedział..nikt nie uwierzy, zginęłam...(*odchodzi kilka kroków w głąb*)

RAJMUND. (*zatrzymuje ją i przyprowadza*)

Co mówisz!..ty Fanny! oh nie, nie...został ci jeszcze przyjaciel, który cię nigdy nie opuści... (*do Desormes*) Panie Desormes, proszę o rękę twojej siostrzenicy Fanny de Beauclair.

FANNY.

Co słyszę!

LEONIDA. (*wstając*)

Czy podobna!

DESORMES.

(*o jej rękę...ty panie Rajmundzie...*)

PANI DE PRANGHEY.

Co to ma znaczyć?

R A J M U N D.

Tak Fanny, ja odtąd twojém wsparciem będę; nadejdzie przecież chwila kiedy cnotliwe miłozenie nie będzie uważane za przyznanie się do występku.

### S C E N A XIII.

ERNEST, DESORMES, LEONIDA, RAJMUND,  
FANNY, PANI DE PRANGEY. ANUSIA.

A N U S I A

Pani, pani... (*oddając bilet*) Oto dowód, czy ja skłamałam tego rana.

E R N E S T.

Ah, mój bilet!

A N U S I A. (*idąc do Ernesta*)

Tak, pański słuźący oddał mi go w tej chwili.

P A N I D E P R A N G E Y. (*dając list bratu*)

Czytaj... czytaj sam mój bracie.

E R N E S T.

Zdawało mi się, że powinienem uprzedzić o moim postępku osobę, której to dotyczyć.

L E O N I D A. (*drżąc*)

Odejdźmy ztąd.. moja matko.

F A N N Y.

Oh czekaj, czekaj.

D E S O R M E S. (*przeczytawszy list*)

Cóżem przeczytał?

ERNEST. (n. s.) .

Ah, nakoniec zrozumiał mię przecię jeden z tych kochanych krewnych..

PANI DE PRANGEY.

A więc, mój bracie?

DESORMES.

Biedna Fanny!.. ja obwinałem ją!

LEONIDA.

Nieba!

DESORMES. (do Leonidy)

Pisze do ciebie: »Moja Leonido!«

LEONIDA. (spojrzawszy na list)

Wuju! co chcesz czynić?

DESORMES.

Lituje się nad tobą... masz. (oddaje jój list)

LEONIDA. (rozdiera go)

Dziękuję.

PANI DE PRANGEY.

Cóż to, rozdierasz bilet! dla czegoż to? trzeba żeby widziano...

LEONIDA. (zblizając się do matki)

Matko, pobłażania.. każdy go potrzebuje.

PANI DE PRANGEY.

Ale zawsze to nie ty moje dziecię; ty jesteś doskonałość sama, ty możesz odwołać się śmiało do twojej matki, ona się zna na tem.

D E S O R M E S.

Panie Rajmundzie, chcesz więc zaślubić Fanny?

R A J M U N D.

To moje najdroższe życzenie.

D E S O R M E S.

Dobrze czynisz.. bo ta...

F A N N Y.

Ah panie Rajmundzie..! ale nie, mój wuju, nie... ja nie przyjmuję jego wspaniałomyślniej ofiary.. on tylko przez litość chciał... nie kocha mię.

R A M U N D.

Fanny, ciebie nie kochać, znając tak dobrze jak ja; a jednakże nie wolno mi nawet pomyśleć, że podzielasz moje uczucia.

F A N N Y.

Dla czego?

R A J M U N D.

A te rysunki... gdzie bezustannie, mówiono mi, kreślisz osoby...

F A N N Y.

Jakto, sądzisz mię więc tak płochą, pustą... i pragniesz?..

R A J M U N D.

Tak Fanny, ponieważ zjednałaś sobie mój szacunek... i ufam zupełnie wdzięczności twojego dobrego serca.

F A N N Y.

Ah panie Rajmundzie, jesteś jedynym człowiekiem, jesteś godnym odpowiedzi, którą ci dać pragnę. *(bierze album z rąk Anusi, która go przyniosła na jej rozkaz i oddaje Rajmundowi)* Trzebami jeszcze i to przebaczyć.

R A J M U N D.

Cóż takiego?

FANNY. *(otwierając album)*

Zem rysowała zbyt często wojskowego... ale od dwóch lat zawsze tenże sam był pracy przedmiotem... patrz...

R A J M U N D.

Co widzę! moja miniatura!

A N U S I A.

Tak!

R A J M U N D.

Czy zasłużyłem?

F A N N Y.

Rysy najwspanialszego z ludzi, tego, którego od dwóch lat kocham, nie śmiejąc powiedzieć, i którego czuję że całe życie kochać będę. *(rzuca się w jego objęcia, i cofając się nagle)* Ah mój Boże! znowu popełniłam zapewne jaką płochość!

D E S O R M E S.

Co się tej tyce, zawsze ci ją przebaczać ędzie. Nauka była dosyć dobra do tego.

F A N N Y.

Oh tak, bądź spokojny.

RAJMUND. (*podając rękę Fanny*)

Spokojny i szczęśliwy!

E R N E S T.

Panie Rajmundzie, postępek twój bardzo piękny, na honor wzruszył mię aż do łez! Ja chciałem także stać się powodem uwielbienia, ale nie sprawiłem tego efektu, szkoda. Racz przyjąć moje powinszowanie, zaślubiasz osobę, którą kochasz, to jest wielkie szczęście, *parole d'un homme galant.*

LEONIDA. (*cicho do Ernesta*)

To szczęście i ty mieć będziesz, jeżeli chcesz.

E R N E S T.

Czy chcę?.. wszakże od dziesięciu minut..

L E O N I D A.

Dobrze.. proś o mnie, zezwolę... opowiem mamie wszystko na osobności, to będzie przyzwyczajenie.

E R N E S T.

Dla czegoż na osobności?

DESORMES. (*do Fanny*)

Uściskaj mię Fanny!

F A N N Y.

Przebaczasz mi?



DESORMES.

Nie, ale sam proszę o przebaczenie.

ERNEST.

Mam nadzieję, że wszyscy je otrzymamy, kiedy nam przemówić dozwolą etykieta i przyzwoitość.

RAJMUND.

Szczerłość nie szuka zasłony mniemaną przyzwoitości; szczęśliwy, komu ona drogę przyszłości otwiera.

FANNY.

SPIEW KOŃCZACY.

Wkrótce ślub! co za rozkosze!

Wcześniej wszystkich na bal proszę.

*(wstrzymując się prędko.)*

Co czynię! nikt nie zaprzeczy,

Ze znów mówię niedorzeczy.

Trudno zwyczaj zmienić przecie,

Przyznajcie panowie, panie;

Wy sami tylko możecie

Poprawić złe wychowanie.

KONIEC KOMEDJI I TOMU DWUNASTEGO.



INSTYTUT  
BADAN LINGWISTYCZNYCH PAN

Biblioteka  
ul. Nowy Świat Nr 72

00-000 Warszawa  
Tel. 26-68-63, 26-62-31 w. 42







F<sup>12</sup>  
1204  
12.